

CRACOVIA

LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600

1

(25) 2001

Nauka i uczeni ♦ Dzieje wielkiego błędu ♦ O profesorach Pinińskim, Łempickim i Makarewiczu ♦ Lwowska historia sztuki ♦
Polszczyzna i polonistyka ♦ W słowniku o fizjografii Lwowa ♦
Proza Tymona Terleckiego ♦ Sylwetki kompozytorów Sołtysów
♦ Książki i czasopisma ♦ Wydarzenia ♦ Kronika ♦ Listy

PRIMA INTER PARES

Najważniejszą wiadomością, jaką odebraliśmy w ostatnich tygodniach, była ta o mianowaniu Arcybiskupa lwowskiego kardynałem. Fakt ów satysfakcjonuje nas i raduje, ponieważ zdarzyło się to po raz pierwszy w historii, przeto wydarzeniu temu należy się chwila uwagi.

Godności kardynalskie w Kościele katolickim związane są – jak widać z praktyki – głównie z wybranymi stolicami metropolitalnymi. W naszym kraju kapelusze kardynalskie wiązały się tradycyjnie z najbardziej czcigodnymi katedrami patronów Polski – św. Wojciecha i św. Stanisława. Kardynałem zostaje więc zazwyczaj każdorazowy ordynariusz krakowski (od półtora wieku już regularnie) oraz gnieźnieński. Tej zasady trzymano się, aby więc odpowiednio uhonorować arcybiskupa stolicy naszego kraju – po II wojnie połączono „unią personalną” Warszawę z Gnieznem. Dopiero niedawno zrezygnowano z tych dość sztucznych układów, co było możliwe dzięki zwiększeniu po Soborze Watykańskim II liczby kardynałów z 70 do 180 (teraz nawet do 184).

W Polsce przedrozbiorowej były tylko dwie metropolie – gnieźnieńska i lwowska. Ponieważ naszemu krajowi przyznawano tradycyjnie tylko dwa kapelusze, i to na zasadzie szczególnej godności miejsca, arcybiskupi lwowscy nie zostawali kardynałami. Godności tej nie otrzymał nawet wielki arcybiskup Józef Bilczewski, dziś bliski chwały ołtarzy. Po II wojnie i wynikających z niej zmianach w skład państwa polskiego wszedł Wrocław, w którym też z tradycji był kardynał. Tę zasadę utrzymano, mamy więc w III RP trzech kardynałów.

Rozszerzenie kolegium kardynalskiego pozwoliło również na uhonorowanie ordynariuszy stolic mniejszych państw wschodnioeuropejskich, w których rzymscy katolicy stanowią większość lub wysoki procent ich obywateli: Łotwy i Litwy. Inaczej sprawa wyglądała w państwie ukraińskim, w większości prawosławnym, z prawosławną stolicą Kijowem. Jedynie obecna część tego państwa, dość sztucznie do niego przed parudziesięciu laty doklejona (jako spadek po imperium sowieckim), ma wielką tradycję katolicką, związaną z jej wielowiekową polskością. To oczywiście Małopolska Wschodnia ze Lwowem, a także Wołyń z Łuckiem. Na terenie Ukrainy właściwej polska ludność rzymskokatolicka zawsze była w mniejszości i jest rozproszona. Toteż gdy po upadku ZSRR tworzone na nowo struktury Kościoła rzymskiego, stolicą metropolii został oczywiście z powrotem Lwów, zaś biskupstwa osadzone w Łucku (też na powrót) oraz dwóch miastach Ukrainy, otoczonych większymi skupiskami Polaków: w Kamieńcu Podolskim i Żytomierzu. Do stolicy państwa, Kijowa, oddelegowano biskupa pomocniczego z Żytomierza.

W tym miejscu warto dodać, że grekokatolicy lwowscy również otrzymali nowego kardynała, mieli go też wcześniej – od XIX wieku (z przerwą na okres Andrija Szeptyckiego). Było to o tyle zrozumiałe, że z szerokiego niegdyś stanu posiadania tego obrządku w Rzeczypospolitej po rozbiorach ostała się tylko archidiecezja świętojurska.

Obecnie przyszedł czas na dowartościowanie rzymskich katolików w państwie Ukraina – lepiej późno niż wcale. Katolików – którzy mimo wysiłków nowych (od ponad pół wieku) władców tej ziemi – przeżyli fizycznie, a duchowo przenieśli ponad tragicznymi doświadczeniami swój obrządek, wyznawany przez nasz naród od tysiąclecia. I właśnie dzięki temu można było na tej ziemi w ostatniej dekadzie przywrócić parafie, biskupstwa, metropolię. I dlatego nasza wiara może dziś promieniować na nowych wiernych innych narodowości, w części dotąd zateizowanych, w części przychodzących z innych wyznań i obrządków. Należy się więc najgłębsza wdzięczność tym ludziom, którzy przez lat kilkadziesiąt w parunastu niezagrabionych świątyniach, w cmentarnych kaplicach i w szczelnie zamkniętych domach mieli odwagę po polsku się modlić, w wierze wychować dzieci i wnuki.

A więc *łaciński* Lwów doczekał się kardynała. Nie mianowano go w stolicy państwa, Kijowie, jak w Rydze czy Wilnie, lecz właśnie we Lwowie, bo *łaciński* obrządek we Lwowie

FELIETON O SOBIE

*S*pojrawszy na 4. numer „Cracovia-Leopolis” z roku 2000 uświadomiłam sobie, że oto właśnie nasze pismo rozpoczyna siódmy rok swojego istnienia. I jak to sprawia każda rocznica, przypomniałam sobie jego pierwsze, niepewne kroki, wątpliwości i radości z nim związane. Wątpliwości, jak długo uda się temu pismu przeżyć, czy zdobędzie sobie sympatię Czytelników, i nadzieję, że jednak nasze przedsięwzięcie spotka się z aprobatą. Radością jest dla nas – to znaczy dla zespołu redakcyjnego – każdy numer, który uda się wydać mimo trudności (przeważnie finansowych), i to, że znaleźliśmy wiernych Czytelników i Współpracowników.

Rocznica jest także asumptem do zastanowienia się nad własnym wkładem w tym dziele. Myslę, że tym co usiłowałam zrealizować i co mam nadzieję udało mi się lepiej czy gorzej, było ukazanie tego, co przeżywał w zamęcie historii jeden, pojedynczy człowiek. W dziejach pojedynczy człowiek jakby nie istnieje – zastępuje go ilościowe ukazanie katastrof i nieszczęść, radości – zdawkowe stwierdzenie, że były to złe czy dobre czasy. A przecież każdy pojedynczy człowiek przeżywa cierpienie czy radość na swój własny sposób. Liczba mnoga dla osoby pojedynczej nie ma żadnego znaczenia. I dlatego z tej wielości usiłuję wydobyć najczęściej jednostkę, jak ze zbiorowego zdjęcia wyławia się jedną znajomą twarz. Twarz osoby wyrzuconej z własnego domu, często pozbawionej możliwości przeżycia, oplatującej rozstanie i śmierć najbliższych jej ludzi. Czy mi się to udaje, mogą osądzić tylko Czytelnicy. Niemniej będę nadal próbowała z mrocznych dziejów wydobywać zapomniane twarze i zdarzenia. Nagrodą będzie mi zrozumienie tych, którzy te felietony zechcą przeczytać.

Barbara Czalczyńska

to rzecz oczywista, wynikająca z tradycji polskiego Millenium, w którym Kościół lwowski zajmuje niepoślednie miejsce przez dwie trzecie tysiącletniej ery. Sześć i pół wieku obrony przed innowiercami, Śluby Jana Kazimierza, Trynitarze, znakomity ośrodek myśli teologicznej, wielkie postacie Jakuba Strzemię, Jana z Dukli, Józefa Bilczewskiego, Rafała Kiernickiego – to wszystko zaowocowało kardynalską purpurą. Za to wszystko dzisiejszy Kościół lwowski ze swymi wiernymi, kapłanami i siostrami, biskupami i Kardynałem-Arcybiskupem musi dziękować w p o k o r z e, musi cenić i strzec skarbu odziedziczonej tradycji tego Kościoła. Kościoła, który może i musi być otwarty dla wszystkich ludzi, narodów i języków, ale jego polskość musi być zawsze *prima inter pares*.

Dlatego właśnie decyzją Ojca Świętego Jana Pawła II ożywia naszą nadzieję.

Księdzu Kardynałowi życzymy szczególnych Łask Bożych. Życzymy, by w tym burzliwym czasie mógł chwalebnie poprowadzić nawę Kościoła lwowskiego i uratować godność, tożsamość i wielowiekowy dorobek swego ludu, tak jak to czynili Jego najlepsi poprzednicy.

Prośmy Matkę Bożą Łaskawą, Królową Korony Polskiej, by Kościół lwowski miała w Swojej opiece.

PAMIĘCI LWOWSKICH PROFESORÓW



W CL S/2000 pokazaliśmy nową tablicę pamiątkową ku czci Profesorów uczelni lwowskich, zamordowanych 4 lipca 1941 r., odsłoniętą w Collegium Novum UJ w listopadzie 1999 r. Przypomnieliśmy jednak, że jest to już druga tablica w Krakowie upamiętniająca kaźń na Wzgórzach Wuleckich. Pierwszą, na której wymieniono nazwiska wszystkich Profesorów zamordowanych tam przez Niemców przy udziale Ukraińców, odsłonięto w 25. rocznicę zbrodni w krążanku klasztoru oo. Franciszkanów. Tablica ta powstała staraniem osiadłych tu po ekspatriacji ze Lwowa profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza: ks. Aleksiego Klawka i Witolda Taszyckiego, a ufundowana

została ze składek żyjących jeszcze wtedy kolegów ofiar. Tablicę zaprojektował art. rzeźbiarz Wiesław Łabęcki.

Pragnieniem ks. prof. Klawka było umieszczenie tablicy w uniwersyteckiej kolegiacie św. Anny w Krakowie. Nie zgodził się jednak na to jej ówczesny gospodarz, tłumacząc odmowę zabytkowym charakterem kościelnego wnętrza. Tablicę przyjął wówczas Ojciec Gwardian krakowskiego klasztoru Franciszkanów.

Przypomnijmy również, że w listopadzie '96 we Wrocławiu odsłonięty został pomnik pamięci rozstrzelanych Profesorów UJK.

W tym roku przypada 60. rocznica tego tragicznego wydarzenia.

80. rocznica polsko-rosyjskiego Traktatu Ryskiego

Traktat podpisany w Rydze 18 marca 1921 r. ustalił definitywnie granicę między Rzeczpospolitą Polską a Związkiem Sowieckim – w części południowej stała się nią rzeka Zbrucz.

Przedstawiciel ZSRR na ryskiej konferencji pokojowej Joffe oficjalnie podkreślił, że państwo to nie ma zamiaru podnoszenia sprawy „Galicji Wschodniej”.

Dnia 15 marca 1923 r. Najwyższa Rada Koalicyjna (Anglia, Francja, Włochy) powzięła decyzję przyjmującą linię Traktatu Ryskiego jako granicę między Polską a Związkiem Sowieckim, w tym Republiką Ukraińską.

DZIEJE WIELKIEGO BŁĘDU

Ewolucja poglądów na początki Lwowa

Każdy lwowianin – i nie-lwowianin znający przedmiot powierzchnie – zapytany, kiedy i jak powstał Lwów, odpowie: w XIII wieku, czy w połowie XIII wieku, założony przez księcia halickiego Lwa.

Ojcem tezy o założeniu Lwowa przez księcia Lwa jest w historiografii polskiej Marcin Kromer; on też *zapropomował* pierwszą przypuszczalną datę tego wydarzenia: rok 1280¹. W XVII w. – 100 lat po Kromerze – Bartłomiej Zimorowicz w swej *Kronice miasta Lwowa* przesunął tę datę o 10 lat wstecz: na rok 1270; jako burmistrz przy czynił się ponadto do utrwalenia przekonania, że założycielem miasta musiał być książę Lew – poprzez wiersz łaciński, którym przyzodobił Bramę Halicką:

Dux Leo mihi fundamenta iecit,

Posteri nomen dedere Leontopolis

*(Książę Lew położył moje fundamenty,
Potomni nazwali mnie Lwim Grodem)*

(jeszcze przed Zimorowiczem, w I połowie XVII w. rajca Jan Alnpek/Alembek w *Topografii albo opisanu miasta Lwowa* umieścił założenie *około 1270 roku*).

Tezy Zimorowicza (i wcześniejsze Alnpeka) weszły do powszechnego obiegu z początkiem XIX wieku, gdy oba teksty opublikowano w tłumaczeniach polskich. Wówczas to udostępniono ogółowi atrakcyjną literacko wizję *Troistego Lwowa* (*Leopolis triplex*), stworzoną przez Zimorowicza. Na ów „troisty Lwów” miały się składać w porządku chronologicznym: miasto ruskie, niemieckie i polskie, z datami odpowiednio: 1270, 1340 i 1551². Rzecz podana w chwytliwej formie zawierała piramidalną bzdurę: pomijając r. 1270, drugie z kolei miasto lokacji Kazimierza Wielkiego (nb. nie 1340, lecz 1356 – ta pierwsza data dotyczy pierwszej wyprawy króla Kazimierza na odzyskanie Ziemi Czerwieńskiej) nigdy nie było miastem niemieckim, nawet jeśli współtworzyli je koloniści niemieccy, a zorganizowane zostało według *niemieckiego* prawa miej-

skiego, przejętego z Magdeburga za pośrednictwem miast śląskich i małopolskich (nie inaczej wszak lokowano Kraków o wiek wcześniej – przyp. red.). Tym więcej nie sposób liczyć początku Lwowa polskiego od r. 1551, gdyż wówczas zaszły jedynie pewne zmiany w ustroju władz miejskich (m.in. podwojenie składu rady miejskiej z 6 do 12 rajców).

Datę Zimorowicza (z drobną zmianą: rok 1269 zamiast 1270) podtrzymał Ignacy Chodyniecki w *Historii miasta Lwowa*³.

Dionizy Zubrzycki w wydanej w r. 1884 *Kronice miasta Lwowa* usiłował po raz pierwszy odejść od poszukiwania za każdą cenę daty założenia i osoby założyciela. Widzenie zagadnienia w ten sposób wyśmiał tłumacząc, że założenie Lwowa przez Lwa, to taka sama legenda jak założenie Rzymu przez Romulusa. Niestety nie posunął naprzód rozwiązania problemu – zastąpił tylko jeden błąd innym: nie szukając założyciela ani daty założenia, przyjął za początek miasta datę pierwszej kronikarskiej wzmianki o nim. W konkretnym przypadku chodziło o zapis *Kroniki Halicko-Wołyńskiej* pod datą 6767 wg rachuby bizantyjskiej *od stworzenia świata*, czyli pod r. 1256, 1257 względnie 1259 po Narodzeniu Chrystusa. W roku tym pogorzał Chełm, a łunę pożaru miało być widać w nocy aż ze Lwowa⁴ (błędy takie pokutują do dziś: jeszcze w 1997 r. obchodzono „Tysiąclecie Gdańska” na podstawie przekazów o pobycie św. Wojciecha i głoszeniu kazań w tym mieście w drodze na misję pruską; jest to istotnie najstarszy przekaz o Gdańsku, wszakże z kontekstu tego przekazu wynika, że już w owym czasie był on metropolią i miał za sobą co najmniej 100–200 lat istnienia).

W 2. połowie XIX w. naukowego opracowania początkowych dziejów Lwowa dokonali Jan Wagilewicz (1860), Izidor Szaraniewicz (1861) oraz Aleksander Czolowski (1891). Ograniczając się wciąż do analizy jednego jedynego tekstu źródłowe-

go: *Kroniki Halicko-Wołyńskiej*, doszli do przekonania, że założenie grodu i osady przypada około połowy XIII wieku, czyli niewiele przed datą pożaru Chełma, widzianego ze Lwowa. Założycielem miały być już nie Lew, lecz jego ojciec książę Daniel Romanowicz, który też miał nadać założonemu miastu imię swego syna⁵.

Trzej wymienieni badacze byli historykami, zatem polegali wyłącznie na tym, co zostało zapisane w źródłach. Świadectwa kultury materialnej, przemawiające za ciągłym zasiedleniem doliny Pełtwi u stóp Góry Zamkowej poczynając od czasów przedhistorycznych, pomijali bądź świadomie pomniejszali ich znaczenie. Ostatnia uwaga odnosi się do Czołowskiego, który pisząc swój artykuł *Lwów za ruskich czasów* znał i powołał się na ogłoszone w 1876 r. relacje Antoniego Schneidra omawiające znaleziska archeologiczne dokonane we Lwowie podczas rozmaitych budów (cytadela, kolej do Brodów i Tarnopola przez stację Lwów-Podzamcze i in.)⁶. Przeszedł jednak do porządku zarówno nad przedstawionymi przez Schneidra faktami, jak i nad jego konkluzją, według której Lwów (wówczas pod inną, nie znaną nam nazwą) istniał już co najmniej w IX wieku i był w państwie Wiślan (jednym z dwóch organizmów, z których powstało państwo polskie) ośrodkiem równorzędnym wobec Krakowa. Konkluzję tę sformułował Schneider następująco:

Dostatecznie nam wiadomo, że Lwów nowy powstał na zgłiszczach dawniejszego, czasów zamierzonych sięgającego grodu, a nowszemu, który stał jako przedmurze cywilizacji europejskiej przeciw barbarzyńcom ze wschodu, nie dozwalały nieustanne napady tych barbarzyńców rozwinąć się dostatecznie. [...] Gdy spojrzemy na [...] majestatycznie nad miastem wznoszący się Wysoki Zamek, już samo to położenie jego naprowadza nas na domysł, iż on był dawniej tem dla Lwowa, czem był Wawel dla Krakowa, a początek pierwszego osiedlenia się tego miejsca śmiało odnieść można do czasów Krakusa lub i wcześniejszych⁷.

Nic z tego nie znalazło się ani w *Historii miasta Lwowa w zarysie*, opublikowanej w 1894 r. przez Fryderyka Papée'go w związku z Powszechną Wystawą Krajo-

wą⁸, ani w szkicu historycznym Czołowskiego, zamieszczonym w monumentalnym wydawnictwie z r. 1896: *Miasto Lwów w okresie samorządu*⁹. Z pierwszej publikacji czytelnik może się dowiedzieć, że o żadnym osadnictwie na terenie Lwowa przed połową XIII w. mowy być nie może, gdyż nie było po temu warunków naturalnych¹⁰; a z drugiej – że początki Lwowa giną w pomroce dziejów ruskich¹¹. Obie stworzyły „kanon” dziejów Lwowa, poza który nauka polska w kwestiach zaadniczych nie wyszła do dziś!

Konsekwencje takiego stanu rzeczy pozostały współcześnie nie zauważone – a przecież wówczas, pod koniec XIX wieku, stała się rzecz dla sprawy polskiej tragiczna: oto polska nauka historyczna potwierdziła swym autorytetem austriacko-ukraińską wersję dziejów Lwowa, i to w sprawie najważniejszej: że mianowicie miasto jest u swych początków założeniem ruskim, a żadnych wcześniejszych początków, których ktoś chciałby szukać np. przed r. 981, kiedy to *Włodzimierz poszedł ku Lachom*, nie ma i być nie może! W tym stanie rzeczy polski Lwów z dziejami rozpoczynającymi się dopiero od czasów Kazimierza Wielkiego okazuje się tworem wtórnym, budowlą bez fundamentu.

Jak długo – rozpatrując ewolucję poglądów na wczesne dzieje Lwowa – nie wybiegamy naprzód poza czasy zaborcze, rzecz może być zrozumiała. Oczywiście, na początku zaboru Austriakom mogła odpowiadać publikacja polskiego tłumaczenia *Kroniki Zimorowicza* z „drugim” miastem jako by niemieckim (i inne zdanie tegoż autora: *że cokolwiek jest we Lwowie dobrego i świętego, wszystko to miasto zawdzięcza kolonistom niemieckim z czasów Kazimierza Wielkiego*¹²; później, już w czasie autonomii, fakt powtórzenia przez Czołowskiego i Papée'go dedukcji źródłowej Rusina Szaraniewicza o założeniu Lwowa przez Daniela, też znajduje uzasadnienie: polityką niedrażnienia Rusinów). Trudno natomiast zrozumieć, dlaczego w ciągu 20 lat II Rzeczypospolitej żadna zmiana w tej kwestii nie nastąpiła, dlaczego punkt widzenia austro-ukraiński nadal podtrzymywano – i to mimo istnienia opracowań wyjaśniających przekonywująco nie tylko możliwość, ale

konieczność istnienia Lwowa od zawsze, ze wskazaniem na miastotwórczą rolę węzła drożnego u stóp Góry Zamkowej? Trudno to wyjaśnić racjonalnie, ale przeszły bez echa słowa profesora Politechniki Lwowskiej Ignacego Drexlera wypowiedziane w roku 1920 we wstępie do *Wielkiego Lwowa*:

*Węzeł czterech ważnych kierunków ruchu daje tak znakomite warunki powstania i rozwoju osady, że się musi przypuścić istnienie choćby małej skupionej osady, jeśli nie w samym punkcie skrzyżowania, to przynajmniej w bezpośrednim jego sąsiedztwie. Stąd uzasadnionym może się wydawać wniosek, że zanim się pojawiła w dokumentach historycznych nazwa Lwowa, osada sama istniała już od wieków. Niepewną jest tylko nazwa czy nazwy tej pierwotnej osady i położenie gruntu, na którym się rozbudowała*¹³.

Nie uwzględnił tego sprostżenia Papée, ogłaszając w 1924 r. drugie wydanie swojej monografii¹⁴, nie wzięły pod uwagę kolejne przewodniki, łącznie z ostatnim, opublikowanym przed katastrofą 1939 r.¹⁵ Mało tego: założenie Lwowa przez księcia Daniela lub Lwa *około połowy XIII wieku* powraca nawet obecnie w publikacjach wydawanych przez „repatriantów”¹⁶ (przy zupełnym przeczeniu okoliczności, że jeszcze w 1938 r. Łucja Charewiczowa zwróciła uwagę na potrzebę opracowania zagadnienia od nowa¹⁷.

Jest pożałowania godnym paradoksem, że potwierdzenie faktu istnienia osadnictwa we Lwowie wstecz do X wieku, a nawet do czasów wcześniejszych, znajdujemy nie gdzie indziej, jak w pracach uczonych ukraińskich, stworzonych w epoce sowieckiej¹⁸. Ze strony polskiej zadawnione błędy wciąż oczekują na sprostowanie, sam zaś Lwów czeka na to, aby mieć wreszcie swoją najdawniejszą historię napisaną rzetelnie i po polsku.

¹ Martinus Cromerus: *De origine et rebus gestis Polonorum libri XXX*, Basileae 1555.

² *Historia – opisanie miasta Lwowa przez Jana Alnpech, Radcę Lwowskiego...* „Pamiętnik Literacki”, r. 1816, t. 1, nr 1, s. 3–4.

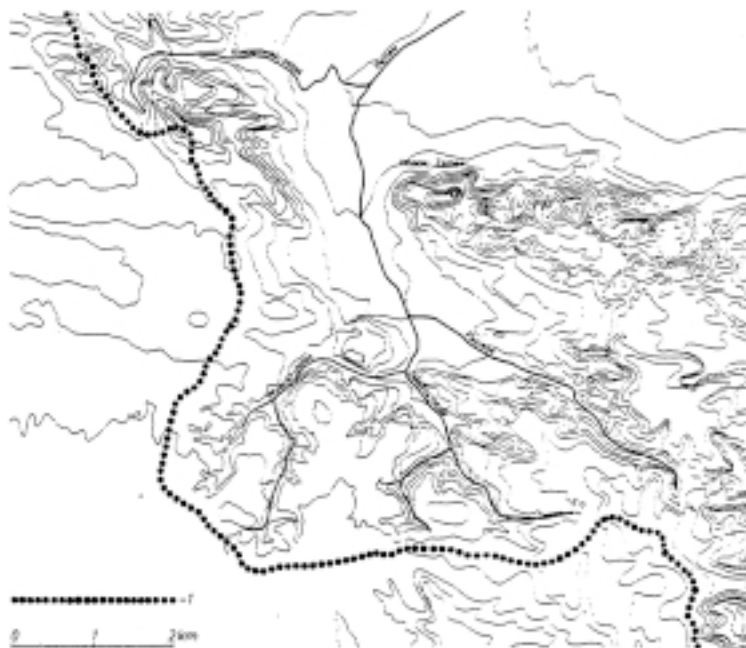
Bartłomiej Zimorowicz: *Historia miasta Lwowa*, Lwów 1835, s.61–62.

³ Ignacy Chodyniecki: *Historia stołecznego Królestwa Galicji i Lodomerii miasta Lwowa od założenia jego aż do czasów teraźniejszych w r. 1829 wydana przez I... Ch... Zakonu Karmelitów. Wydanie wznowione tamże*, Lwów 1865, s. 24–25.

⁴ Dionizy Zubrzycki: *Kronika miasta Lwowa*, Lwów 1844, s.2.

⁵ Jan Wagilewicz: *Początki Lwowa*, „Kółko Rodzinne” (Lwów), nr 7, s. 111; Isidor Saranewicz: *Starodavnyj L'vov*, [w:] *Starodavnyi halickii horody*, cz. 2, L'vov 1861, s.12, przyp. 40, s.16–17; Aleksander Czółowski: *Lwów za ruskich czasów*, „Kwartalnik Historyczny”, r. 5:1891, nr 4, s. 779–812.

⁶ Antoni Schneider: *Badania i poszukiwania archeologiczne w Galicji w ostatnich latach*, „Przegląd Archeologiczny”, r. 1:1876, z. 1, s. 16–22; z. 2, s. 44–51.



Urzeźbienie obszaru kotliny lwowskiej. Poziomice co 10 m. Linia kropkowana: przebieg głównego europejskiego działu wodnego. Wg W. Szolginia: „Tamten Lwów”.

- ⁷ Schneider, op. cit., s. 17–18.
- ⁸ Fryderyk P a p é e: *Historia miasta Lwowa w zarysie*, Lwów 1894.
- ⁹ Aleksander C z o ł o w s k i: *Obraz dziejowy Lwowa*, [w:] *Miasto Lwów w okresie samorządu 1870–1895*, Lwów 1896, s. I–LXXXIV.
- ¹⁰ Papée, op. cit., s.14.
- ¹¹ Czołowski, op. cit., s. III.
- ¹² *Leopolis triplex, czyli Kronika miasta Lwowa*, [w:] *Józefa Bartłomieja Zimorowicza Pisma do dziejów Lwowa odnoszące się*, wyd. Korneli H e c k, Lwów 1899, s. 64.
- ¹³ Ignacy D r e x l e r: *Topograficzny rozwój Lwowa*, [w:] *Wielki Lwów*, Lwów 1920, s. 5–6.
- ¹⁴ Tytuł jak w wyd. 1., jedyną zmianą jest dodanie rozdziału o Obronie Lwowa autorstwa Romana L u t m a n a. Fragment o braku możliwości zaistnienia osadnictwa – s. 21 (powt. do słowa za wyd. 1).
- ¹⁵ Aleksander M e d y Ń s k i: *Lwów. Ilustrowany przewodnik dla zwiedzających miasto. Drugie wydanie przejrane i uzupełnione*, Lwów 1937, s. 36 (tylko tyle, że ziemia, na której później powstał Lwów, była pierwotnie polska).
- ¹⁶ Np. *Kalendarium Lwowskie*, „Semper Fidelis”, r. 1990, zeszyt XII/89 – I/90, s. 20; Jerzy J a n i c k i: *Ni ma jak Lwów...* Warszawa 1990, s. 14; Marian M r o c z k o: *Lwów. Zarys dziejów i zabytki*, Gdańsk 1992, s. 4.
- ¹⁷ Łucja C h a r e w i c z o w a: *Historiografia i miłośnictwo Lwowa*, Lwów 1938 (Biblioteka Lwowska, nr 37), s. 96.
- ¹⁸ Oleksij Onysymovyc R a t y c: *Drevn'orus'ki materialy z rozkopok 1955–1956 rr. na Zamkovij Hori u L'vovi*, „Materialy i Doslidzenn'ja z Archeolohii Prykarpatt'ja i Volyni”, t. 3, Kyiv 1961, s. 126; Tet'jana Oleksandrivna T r e g u b o v a, Roman Mychajlovyc M y c h: *L'viv. Architekurno-istorycnij narys*, Kyiv 1989, s. 36.

ŁUKASZ WALCZY, ur. 1954 w Krakowie (po rodzinie matki związany z Brodami, Zbarażem). Matura w I LO im. Nowodworskiego, studia na UJ w zakresie historii (magisterium 1979) i historii sztuki (1982), doktorat z historii 1988. Pracuje jako kustosz w dziale historycznym Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce. Jest autorem ponad 30 publikacji. Prace nad tematyką lwowską podjął w r. 1994, obecnie przygotowuje monografię Lwowa średniowiecznego, w nowym ujęciu. Jest członkiem Komisji Urbanistyki i Architektury PAN.

Stanisław Łempicki

PROFESOR NAMIESTNIK MECENAS

Ze Lwowa otrzymaliśmy niedawno rękopis przemówienia radiowego profesora UJK Stanisława Łempickiego, które wygłosił w Polskim Radiu we Lwowie w dniu pogrzebu hr. Leona Pinińskiego. Tytuł pochodzi od redakcji.

Śmierć Leona Pinińskiego wywołać musi żalobne echo daleko poza krańcami naszego miasta. Bo oto życiu polskiemu ubyłaby osobistość niezwykle charakterystyczna i wartościowa, a kulturze polskiej człowiek o wielkiej, nieprzemijającej zasłudze.

Powiedziano trafnie o Pinińskim, że szerokością swoich horyzontów i zainteresowań przypominał ludzi renesansu i humanizmu. Na iluż to polach był czynny! Jako prawnik należał do najznakomitszych polskich *romanistów* i piastował katedrę prawa rzymskiego, a jednak pozostały po nim również bardzo wartościowe prace z zakresu współczesnego prawa cywilnego, karnego i państwowego. Jako znawca i badacz sztuk plastycznych sięgał w rozmaite epoki, od renesansu do czasów najnowszych; wszakże zostawił prace o Rafaelu, o malarstwie hiszpańskim, o portrecie angielskim, ale równocześnie pisał i o miniaturach, grafice, Grottgerze i Malczewskim. W zakresie zainteresowań dla literatury i filozofii, łuk jego zamięłowań i badań rozpięty był bardzo szeroko, bo od cesarza myśliciela Marka Aurelego, poprzez arcytwór średniowieczny Danta, przez św. Franciszka z Asyżu, do Szekspira, o którym napisał dwutomową monografię, do Goethego i jeszcze dalej. Był niepospolitym znawcą muzyki i autorem prac o Ryszardzie Wagnerze, a poza tym wszystkim Piniński to działacz polityczny, społeczny, poseł, parlamentarzysta, wysoki dygnitarz administracyjny w okresie życia Polski pod zaborem – i jeszcze rolnik, gospodarz, zbieracz i kolekcjoner

w wielkim stylu, podróżnik, niemal *perpetuus viator* znający cały świat. Aż dziw bierze, skąd tyle sił, tyle energii duchowej i umysłowej brało się w tym człowieku z natury właściwie wątłym, i niepozornej, choć pięknej i pełnej swoistego uroku postaci. Może w indywidualnych właściwościach natury zmarłego kryła się tajemnica tej żywotności, a może w charakterze i typie psychofizycznym tej rasy, z której wyszedł: szlachty kresowej Ziemi Czerwieńskiej. Przecież we Lwowie się urodził, w Tarnopolu i Lwowie młodość na naukach spędził, a gniazdo jego rodzinne grzymałowskie leży niedaleko od granic Rzeczypospolitej!

Życie profesora Leona Pinińskiego układało się dość osobliwie. Od młodości umiłował naukę, specjalnie prawo, i marzył o karierze uniwersyteckiej, którą osiągnął dość szybko, zabłyśnięwszy już pierwszą, znakomitą swoją pracą z prawa rzymskiego, nie tylko wobec Polaków, lecz i wobec zagranicy. Rzucił po kilku latach tę karierę uniwersytecką, przeszedłszy do polityki. Działał w Sejmie Galicyjskim i parlamencie austriackim, jest ozdobą Koła Polskiego, członkiem Trybunału, namiestnikiem Galicji, członkiem Izby Panów. Ale to jest właśnie ciekawe, że w czasie tej całej pracy politycznej był ciągle uczonym i profesorem. W ciałach parlamentarnych, w komisjach, w Trybunale ceniono go przede wszystkim za jego wiedzę i świetną naukową duchowość w rozstrzyganiu zagadnień praktycznych. Na stanowisku namiestnika czuje się jak w nie swojej skórze. Ale znowu rzecz dziwna: kiedy rzuca to dostojęństwo, to nie wraca do studiów prawniczych i do uniwersytetu. Przechodzi okres wielu lat, kiedy pociągają go inne dziedziny: sztuka, literatura, muzyka. W zaciszu domowym i w podróżach tworzy najpoczytniejsze swoje prace. Prowadzi trochę cygański żywot artysty. I dopiero po odrodzeniu państwa naszego wraca naprawdę do swoich najdawniejszych może i najgłębszych usiłowań: w starości staje na powrót do ciężkiego warsztatu uniwersyteckiej pracy nauczycielskiej i naukowej. Niemal od tego warsztatu odszedł w zaświaty. Może i miał rację ten dziwny filozof, esteta, miłośnik uroków życia – może miał rację, że najpiękniejsze, najbardziej męskie lata tego życia poświęcił sztuce i poezji.

Fachowcy ocenili już nieraz bogaty, na wskroś oryginalny i śmiały dorobek [Leona Pinińskiego] w zakresie nauk prawniczych. Ale szerokie sfery polskie znały go z tamtych innych jego prac, które miały zawsze swój odrębny wyraz, będący odbiciem osobowości autora. Pisał je nie jak robotnik naukowy, odrzucający nieraz w pocie czoła skiba po skibie, aby dać rezultat cenny, a nawet bardzo wartościowy, i tworzył jak badacz, dla którego wchodzenie w krainę nauki i piękna jest najgłębszą potrzebą umysłu i najprawdziwszą rozkoszą. Prace Pinińskiego, nawet te niewielkie rozmiarami, wyrastały z długiego, radosnego obcowania z duchami wielkimi, z przeżyć głębokich, zdobywczych, z długich pięknych godzin zadumy nad ludźmi i ich działaniem. Rzetelny i wielostronny, człowiek o kulturze wysokiej i niezmiernie czulej, umiał być Piniński w badaniach swych filozofem, wędrującym własnymi drogami ku tajemniczym terenom ludzkich myśli; musiał być artystą, przed którym otwierały się ogrody piękna niedostępne nieraz dla specjalistów badaczy. Może powinien być zostać poetą, malarzem czy muzykiem, trudno wiedzieć; został tym, który pisał o wielkiej poezji, wielkiej sztuce i wielkiej muzyce, tak jak gdyby sam tworzył. Stąd to szczególne tchnienie głębokiego zżycia się z wyżynami wielkiej sztuki, stąd jakaś dziwna, a pozbawiona wszelkiej sztuczności poufałość z tym co mądre i piękne, która uderza czytelnika w książkach Pinińskiego.



Hr. Leon Piniński. Portret namalowany przez Kazimierza Podwańskiego, 1928

Może tak pisali humaniści florenckiego renesansu, dumający we wczesnych, przedświtowych godzinach lub późną nocą nad Platonem czy Tacytem, nad Horacym lub Wirgilem. To była jakby prywatna strona jego twórczości, te prace o sztuce, literaturze, muzyce, które sam przekornie nazywał dyletanckimi, chociaż stały na poziomie wysokim i miały liczne koła czytelników.

Cóż jednak mamy o Leonie Pinińskim przekazać ku zapamiętaniu wieczystemu? Najpierw stwierdzić należy, że w ciągu całej swojej pracy publicznej, jako działacz polski, parlamentarzysta, a także jako austriacki dostojnik, tajny radca i namiestnik Galicji – służył z całej duszy Polsce. Jego polskość trwała i wyszła z wszystkich prób nieskazitelna, a rycerskość jego ducha i czynu nie doznała żadnej zmazy. Jako najpiękniejszy moment z swoich namiestnikowskich czasów wspominał ów dzień, gdy z rąk wojskowności austriackiej odbierał zniszczony i znieważony Wawel, naszą narodową Akropolę, o której rewindykację walczył uparcie. W dziele odnowienia tej rezydencji królewskiej brał potem najżywszy udział i złożył temu Wawelowi, na chlubę i świetność nowych jego dziejów w wolnej ojczyźnie – to, co miał najdroższego, dorobek i miłość życia: swoją wspaniałą galerię obrazów.

I tu się odślania druga strona publicznej działalności Pinińskiego: jego mecenał kultury. Ten mecenał, który cicho, bez ostentacji szedł przez długie lata śladami najchlub-

niejszych naszych tradycji. Piniński zbierał nie dla własnej tylko rozkoszy, ale z myślą o Polsce, o Wawelu i o bliskim sobie Lwowie. Był ich opiekunem, doradcą najtkliwszym; wyrozumiałym i mądrym przyjacielem artystów. Umiał być ich opiekunem, doradcą, najlepszym kolegą, wielbicielem gorącym i śmiałym krytykiem.

Pałacyk jego przy ulicy Matejki we Lwowie był zawsze wiernym azylem natchnień artystycznych, ukrytą szkołą dla niejednego młodego twórcy, miejscem niezliczonych artystycznych pogawędek i sympozjonów, i tych lekcji, które umiał dawać tak delikatnie i mądrze. Tutaj zrodziło się niejedno marzenie artysty, tu wykwił niejeden pomysł znakomity, a niejedna wędrówka zagraniczna czy stypendium artystyczne miały tutaj swój początek. Stąd właśnie szły na Wawel pieczołowicie wyprawione w drogę, drogocenne dary Pinińskiego, któremu iścił się w tej ofiarności dla wolnej Rzeczypospolitej jego najpiękniejszy rycersko-szlachecki sen.

Szedł przez życie swój śp. Leon Piniński drogą prostą i jasną, jak przystało na prawnika rzymskiego, którego często porównywano z Rzymianinem. Bo rzymska była w nim zaiste wierność własnym przekonaniom ponad fale czasu, rzymska ta bezkompromisowość i prawdomówność, która nie zawsze jednała mu ludzi i słała drogę do zaszczytu, rzymska wreszcie ta przyjaźń serdeczna, której wybranym przyjaciółom umiał zawsze wiernie dochować.

Mówił o sobie, że był raczej pesymistą niż optymistą w życiu – w swej mowie jubileuszowej w 1936 roku zauważał nie bez gorczy, że nie może być chwalcą ani swojej starości, ani swojej współczesności dzisiejszej – a jednak prawdą jest, że właśnie na starość doszedł do mądrej równowagi ducha i z filozoficznym pobłażaniem patrzył – jak mędrzec – na rozgrywający się przed jego zmęczonymi oczyma chaotyczny dramat naszej przejściowej i nieciekawej epoki.

Zostawił po sobie dzielnych uczniów w Uniwersytecie, zostawił książki, zostawił fundamentalny czyn mecenasowski: hojną ofiarę na rzecz narodowej kultury. W dziejach Ziemi Czerwieńskiej i Lwowa żywot jego wypełnił jedną z kart najpiękniejszych.

Odszedł – co się nieczęsto zdarza – rozrządziwszy mądrze wszystkim, wychyliwszy ostatnią kroplę z przeznaczonych



Pałac w Grzymałowie

pucharu; ułożył się na spoczynek, jak drzewo, które ubłogosławione przez Pana wydało wszystkie swoje owoce.

LEON PINIŃSKI, ur. 1857 we Lwowie. Właściciel majątku Grzymałów, hrabia. Uczył się w domu, maturę zdał w Tarnopolu. Studia prawnicze ukończone we Lwowie uzupełniał w Lipsku, Berlinie i Wiedniu. W 1891 został profesorem prawa rzymskiego na Uniw. Lwowskim, członek PAU. W latach 1889–98 był posłem do Rady Państwa

w Wiedniu, 1894–98 zasiadał w Sejmie Krajowym we Lwowie. W 1898 został namiestnikiem Galicji; podjął energiczną walkę z nacjonalizmem ukraińskim i ruchem socjalistycznym. Odwołany w 1903, został dożywotnim członkiem austriackiej Izby Panów. W czasie I wojny, dążąc do korzystnych dla Polski rozwiązań, angażował się w kontrowersyjną działalność polityczną. Po wojnie podjął na nowo pracę naukową, studia nad sztuką i muzyką oraz kolekcjonerstwo. Swoje bogate zbiory ofiarował Wawelowi, Ossolineum i in. Zmarł w 1938 r.

Tadeusz Ulewicz

WSPOMNIENIE O STANISŁAWIE ŁEMPICKIM*

[...] *Fuimus Troes, fuit Ilium et ingens Gloria Teucrorum!*

Vergilius, *Aeneis* II, 325 n.

Było coś renesansowego w tym człowieku o ujmującej postawie i temperamencie oraz wybitnie humanistycznym sposobie myślenia, o którym zresztą docierały do nas najpierw typowo lwowskie anegdotki – równoległe jak i o innych znakomitościach tamtejszych – zanim jeszcze nawet zetknęliśmy się z nim bezpośrednio, w Krakowie. Stosunkowo już zatem późno, gdyż dopiero po tragedii przeferymowanych Stalinowi ziem wschodnich Polski przez naszych, wstyd powiedzieć, sojuszników wojennych na Zachodzie, czyli po arcyżałosnej pseudo-repatriacji większości Polaków spoza Sanu, Bugu, z Nowogródzkiego i Wileńszczyzny. Tragedii więc w danym wypadku Lwowa, która w sposób widoczny zaciążyła też osobie na Łempickim oraz całej jego rodzinie – szczególnie głęboko.

Miał niespełna sześćdziesiąt lat, kiedy w jesieni r. 1945 obejmował powierzoną mu katedrę historii literatury staropolskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, wobec przejścia czy właściwie raczej powrotu zajmującego ją chwilowo Juliana Krzyżanowskiego – do odbudowującej się Warszawy. Wysoce był przy tym nauczycielsko i środowiskowo p o t r z e b n y, gdyż zatłoczona studentami polonistyka krakowska łątała

jednocześnie nieobecność uniwersytecką uczelni Lwowa, Wilna oraz z trudem najwyższym odgruzowywanej stolicy – po wyniszczeniu okupacyjnym kadry specjalistyczno-naukowej oraz w ogóle inteligencji w Polsce. Nie przypadkiem ściągano wtedy, z emerytur, chętnych czy sprawnych jeszcze profesorów¹, niekiedy zaś nawet uaktywniony emeryt obsługiwał w praktyce aż dwie katedry (jak np. sławista T.S. Grabowski), przeważnie zresztą na „jeżdżąc”. Tak czy owak jednakże szła przed Łempickim fama znakomitego uczonego: wykładowcy i świetnego zarazem oratora, a gromadnie się doń zgłaszający zapóźnieni zwłaszcza studenci-poloniści ze Lwowa – od których (przy słynnej jego wyrozumiałości) wymagał jednak na seminarium korzystania m.in. z tekstów łacińskich – potwierdzała ustalającą się opinię. Tym bardziej, że kojarzącą się zarazem z ujmująco męską sylwetką własną profesora, zawsze otwartego, życzliwego ludziom i przystępnego, o znamiennie lwowskim poczuciu humoru i „zaciągającej”, sympatycznie wschodniej wymowie, który ściągał na siebie mimo woli uwagę otoczenia.

A przecież dostrzec w nim można było pośrednio jak gdyby cień głęboki zawodu czy melancholii swoistej, znamiennej dla wysiedleńców (bo nie wychodźców z własnej woli!) – przy częstym uzalaniu się na złe samopoczucie albo na serce, co skądinąd

przypisywano... jakiemuś raczej przewrażliwieniu niż powodom istotnym. Dopóki, mając lat sześćdziesiąt jeden, nie zmarł nagle, na ostry zawał serca, przy egzaminie u siebie w domu (czując się bowiem niedobrze, egzaminował później niejednokrotnie w mieszkaniu), ku zaskoczeniu chyba wszystkich, z wyjątkiem tylko żony. Znacznie od siebie młodszej, subtelnej zresztą poetki p. Jadwigi z Gamskich Łempickiej, która zdając sobie sprawę z rzeczywistości stworzyła mu atmosferę zaciszną w domu, a która zmarła tragicznie w kilka zaledwie lat później.

Tak czy owak jednakże przeszczepiana do nas uniwersytecka legenda o bujnie renesansowej osobowości Łempickiego, unaczyniana też bezpośrednio świetnymi jego wystąpieniami wykładowymi w UJ, utrzymywała się powszechnie – zwłaszcza pośród studentów, a w szczególności chyba studentek. Mniej więcej tak, jak ujmował to po przyjacielsku bliski mu od lat kolega-lwówianin i rówieśnik, Juliusz Kleiner, w niezwykle cennym przedmiotowo konterfekcie wspomnieniowym – pod wrażeniem jego odejścia. Stwierdził on tam mianowicie w sposób odpowiedzialny:

[...] Odszedł znakomity uczyony, pisarz władający świetną, nieskazitelną polszczyzną, prelegent doskonały, profesor pobudzać umiejący młodych pracowników i czarujący człowiek. Podbił [...] urokiem swojej osoby, pociągał ku sobie słowem ciepłym, serdecznym. Umiał być najmiłym towarzyszem, jako *causeur* stawał się ośrodkiem towarzyskiego grona, ożywiał je trafnością powieści, dowcipem, uśmiechem, którego nie spędzała z wyrazistej twarzy nawet skłonność pewna do skarg, do narzekań związanych z przeżyciami osobistymi i z lękiem przed chorobą. Nie przeszkadzały i one wnoszeniu pogody przez rosnącego, sporo kilogramów ważącego gawędziarza – o wyjątkowej kulturze, o rzadkiej rozległości horyzontów.

Ciepłym serdecznym i tętnem życia napędzał wykłady, mówione z [...] harmonijną, a młodzieńczego temperamentu pełną płynnością. I ożywiały się też pod piórem świetnym wszelkie zagadnienia [...] i postaci, które charakteryzował. Każdą jego rozprawę czyta się z przyjemnością, a nierzadko z poruszeniem serca. Pisać umiał tak, jak ma to k t ó r y z uczonych, i entuzjazmem prześwieślać słowa².



Prof. Stanisław Łempicki

Nic dodać, nic ująć. A swoją drogą trudno się było dziwić jego niewesołym, powojennym nastrojom. Zawiedziony głęboko patriota-lwówianin poczuł się, w głębi serca, w y g n a n i e m – ze świadomością życiowej przegranej. Dzieci, które bardzo kochał, znalazły się na Zachodzie. Wybitnie zdolny syn Zdzisław, uczestnik walk II korpusu polskiego we Włoszech, zmarł za granicą³ w dwadzieścia parę lat później z ran i tęsknoty, spoczywa dzisiaj razem z nim na Cmentarzu Salwatorskim w Krakowie; a córka, która wyszła gdzieś w świecie za mąż (podobno za oficera czy generała Greka), ongiś wyróżniająca się (też ponoć) urodą dziewczyna we Lwowie, przepadła dla nas na zawsze. Nielepiej, gdy odchodził, zdawały się kształtować możliwości naukowo-wydawnicze jego książkom – dorobkowi całego życia – w ponurych czasach stalinowskich. Zapowiadane w „Czytelniku” dwa tomy znakomitych jego studiów pomniejszych pt. *Humanizm i renesans w Polsce* ograniczono pośmiertnie do j e d n e g o (wyszedł dopiero w 1952 r.), usuwając stamtąd szereg cennych rzeczoznawczo studiów, jako wysoce nie „pod linię” polityczną systemu⁴, i dodając krytycznie ostrożno-

ściowy podtytuł *Materiały [sic!] do studiów*. Nie bez winy przy tym pochliwego, występującego się podskakiewiczowsko ekslwowianina prof. Ł.K. w Warszawie, a i to ze „spadochroniarską” tam przedmową K. Budzyka, która zresztą w praktyce okrojony ów tom w y b r o n i ła. Jedyne rzeczy pamiętnikarskie stosunkowo łatwiej było wtedy „przepchać” (pomimo nawet ścięć), jak wcześniej wydane, uroczę czytelniczko *Wspomnienia Ossolińskie* (Wrocław 1948) oraz *Złote paski* [na kołnierzu mundurków studenckich], *wspomnienia ze szkoły galicyjskiej* (Warszawa 1957), a także *Poezje wybrane* Heinego w jego przekładzie (Wrocław 1951), nie mówiąc w tej chwili o drobiazgach.

Czas wszelako robi swoje, a błędy czy wypaczenia patologiczne okresu same przez się kompromitują. Historia zaś n a u c z y c i e l k a, prawdziwa *magistra vitae* – w jakieś trzydzieści kilka lat po śmierci uczonego powracać i nawiązywać zaczęła stanowczo do jego dorobku, jak świadczą m.in. wznowienia wydawnicze najważniejszych badawczo jego książek, naukowo twórczych i żywotnych. Kolejno więc *Mecenat wielkiego kanclerza. Studia o Janie Zamoyskim*, wydane starannie przez S. Grzybowskiego (Warszawa 1980), także uprzywilejowanie czterech jego *cochanowianów* w reprezentacyjnym zbiorze M. Korolki *Kochanowski, z dziejów badań i recepcji twórczości* (Warszawa 1980), i wreszcie wzorowo opracowany przez J. Starnawskiego obszerny zestaw prac wybranych pt. *Wiek złoty i czasy romantyzmu w Polsce* (Warszawa 1992). Tom z esejami wstępnymi J. Kleinera i wydawcy oraz z arcystaranną *Bibliografią* pism uczonego, obejmującą – łącznie z pośmiertnymi – 279 własnych jego rzeczy drukowanych plus zestaw jego *Rękopisów*, następnie też jego *Prac redakcyjnych* i nawet jeszcze *Wykładów* uniwersyteckich we Lwowie i w Krakowie. Nieczęsto się to zdarza⁵ w hołdach składanych zasługom uczonego, w długie lata po jego odejściu.

Jednocześnie zaś, powtórzmy, nieprzyładkowo i pouczająco. Jak tyle innych faktów w dziejach książki, z dziełami ongiś m.in. Karola Szajnochy (z pomnikowymi tu *Jadwigą i Jagiełłą*), a w omawianych znów czasach narzucanego „sorealistycznie” dyktatu – z dziełami zwłaszcza historycznymi Wł. Konopczyńskiego i W. Sobieskiego

oraz uczonych wypchniętych wojną poza kraj i pozostałych na wychodźstwie, jak O. Halecki, M. Kukiel, K. Lanckorońska, ks. W. Meysztowicz, M. Paszkowski, T. Sulimirski i in. Co skądinąd wiarygodności ich i zaufania w społeczeństwie bynajmniej nie zmniejszyło, a pobudzało ciekawość i drażniło niepokojąco. Na szczęście!

(1966)

* Stanisław Łempicki urodził się w 1886 r. w Kamionce Strumiłowej (woj. tarnopolskie). Zmarł w 1947 r. w Krakowie, spoczywa na cmentarzu Salwatorskim.

¹ Fakt dzisiaj zapomniany, zasługuje jednak na ujęcie całościowe w skali ogólnopolskiej.

² Przytoczono z przedruku, na czele tomu S. Łempickiego *Wiek złoty i czasy romantyzmu w Polsce*, wyd. J. Starnawski, Warszawa 1992, na s. 5. Co do otocza zaś kulturalnego por. Ł. Charewiczowa, *Historiografia i miłośnictwo Lwowa*, Lwów 1938, zwłaszcza s. 133–172, lub reprint (w serii *Biblioteka Lwowska*, t. VI, Warszawa–Kraków 1990), s. jw.

³ Z najwyższym uznaniem opowiadał mi też o nim znany językoznawca włoski, prof. Enrico Castellani (z Florencji).

⁴ O ile pamiętam, usunięto stamtąd (gdyż sam nie widziałem korekty dwóch tomów, pokazywane mi przez p. Łempicką) m.in. studia: *Pater Capistrano w Polsce*, *Biskupi polskiego renesansu*, *Piotr Skarga w Ziemi Czerwieńskiej*, a przede wszystkim nader drażniące dla marksistów ujęcie ogólne *Renesans i humanizm w Polsce* – jak najbardziej odmienne od narzucanych tu po sowiecku „propozycji”.

⁵ Nb. z wielu o nim relacji por. zwłaszcza J. Hulewicz, *Stanisław Łempicki* [...] „Przegląd Historyczno-Oświatowy”, t. I, nr 3–4 (i odtbitka: Kraków 1948, s. 15 + 1 zdjęcie) oraz, ostatnio, J. Starnawski, *Stanisław Łempicki* [...], w tomie zbiorowym *Sylwetki lwowskich historyków literatury* oddanym do druku, a dostępnym mi w maszynopisie.

Dziękujemy Panu Profesorowi Tadeuszowi Ulewiczowi za udostępnienie nam powyższego wspomnienia.

TADEUSZ ULEWICZ, ur. 1917 w Radomiu. Absolwent Studium Filologii Polskiej UJ 1935–39. Podczas okupacji czynny w tajnym nauczaniu. Od 1945 asystent UJ, od 1967 profesor, kierownik Zakładu Literatury Staropolskiej i Oświeceniowej. Obecnie na emeryturze. Zainteresowania badawcze: literatura średniowieczna i renesansowa. Autor wielu rozpraw naukowych.

Adam Małkiewicz

HISTORIA SZTUKI NA UNIwersYTECIE LWOWSKIM 1893–1939

Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk wydało przed kilku laty – jako pokłosie sesji naukowej – tom pt. „Dzieje historii sztuki w Polsce” (Prace Komisji Historii Sztuki, tom 25 pod red. Adama S. Labudy, Poznań 1996) Jedną z prac tam zamieszczonych jest referat krakowskiego naukowca (i b. wicedyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie) prof. Adama Małkiewicza pt. „Historia sztuki na Uniwersytecie Lwowskim 1893–1939”. Pracę tę prezentujemy w skrócie, opuszczając wątki i szczegóły przeznaczone dla profesjonalistów oraz przypisy.

Dziękujęmu panu profesorowi Janowi M. Piskorskiemu, Głównemu Redaktorowi PTPN, za wyrażenie zgody na przedruk tego tekstu.

Istnienie uniwersyteckiej historii sztuki we Lwowie wyznaczają dwie daty: rok 1893 – utworzenie pierwszej katedry, i rok 1939 – wybuch wojny [...]. W ciągu niespełna półwiecza swego istnienia lwowskie środowisko ukształtowało i konsekwentnie utrzymało specyficzny stosunek do tej dyscypliny i sposobu jej uprawiania, odróżniający je od innych ośrodków uniwersyteckich w Polsce, tworząc wyraźnie zarysowaną, lokalną szkołę naukową, obejmującą także uczonych z uczelniami nie związanymi. [...]

Będący jednym z głównych miast Rzeczypospolitej Lwów już w r. 1772 przypadł Austrii i stał się gospodarczym i administracyjnym centrum Królestwa Galicji i Lodomerii. Z racji tych funkcji przez niemal wiek poddany był silnym procesom austriacyzacji, realizowanym przede wszystkim przez rugowanie języka polskiego ze szkół i urzędów, likwidację polskich instytucji administracyjnych, sądowych, naukowych i kulturalnych, wreszcie napływ austriackich funkcjonariuszy i urzędników z innych krajów monarchii. Ten proces uległ zahamowaniu i cofnięciu w dobie autonomii galicyjskiej, poczynając od późnych lat sześćdziesiątych. [...]

Uniwersyteckie tradycje Lwowa sięgają jezuickiego kolegium, założonego w r. 1585, a w r. 1661 przekształconego przez Jana Kazimierza w Akademię Lwowską, zlikwidowaną przy okazji kasaty zakonu w 1773 r. W r. 1784 cesarz Józef II założył w jej miejsce niemiecki uniwersytet, który jednak upadł w r. 1805, a w 1817 r. został wzniesiony przez cesarza Franciszka I z niemieckim i łaciną jako językami wykładowymi. Dopiero w 1871 r. wprowadzono w Uniwersytecie język polski jako wykładowy, co spowodowało wymianę kadry nauczającej i konsolidację polskiego środowiska naukowego.

Ogromną rolę w formowaniu się lwowskiej humanistyki odegrał Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Ossolineum, ufundowane przez Józefa Maksymiliana Ossolińskiego w r. 1817, rozpoczęło działalność w r. 1827 i w dobie przedautonomicznej było praktycznie jedyną polską instytucją naukową. Trzon Zakładu stanowiła wielka biblioteka, sukcesywnie wzbogacana o włączane do niej księgozbiory prywatne; ważne uzupełnienie stanowiły kolekcje artystyczne, w tym zwłaszcza Muzeum Lubomirskich. Istotną rolę inspirującą badania odegrało „Czasopismo Naukowego Księgozbioru Publicznego im. Ossolińskich”, wydawane w latach 1828–1869.

W r. 1857 Wiktor Baworowski utworzył fundację dla utrzymania własnej biblioteki ze zbiorem dzieł sztuki, którą zapisał krajowi.

Uczeni lwowscy stanowili najliczniejszą – po krakowskich – grupę członków i współpracowników powołanej do życia w 1872 r. w Krakowie Akademii Umiejętności. Dotyczyło to też utworzonej w r. 1873 Komisji Historii Sztuki, której lwowscy współpracownicy zorganizowali się w r. 1892 w osobny oddział.

Będące wynikiem podjętej w 1871 r. polonizacji Uniwersytetu ukształtowanie się we Lwowie w latach siedemdziesiątych silnego środowiska humanistycznego, przede wszystkim w zakresie nauk historycznych, w następnej dekadzie znalazło odbicie

w tworzeniu miejscowych instytucji naukowych, mających ponadlokalny charakter. W r. 1881 z inicjatywy Wojciecha Dzieduszyckiego powstało Krajowe Towarzystwo Archeologiczne, którego organem był „Przegląd Archeologiczny”, wydawany od r. 1882. Z inicjatywy tego Towarzystwa w 1885 r. odbył się we Lwowie I zjazd archeologiczny. W r. 1886 uczniowie Ksawerego Liskego założyli Towarzystwo Historyczne we Lwowie, wydające od 1887 r. „Kwartalnik Historyczny” i organizujące coroczne zjazdy naukowe. W obu pismach – „Przeglądzie” i „Kwartalniku” – ukazywały się też prace z zakresu starożytnictwa artystycznego. [...]

Muzeum Lubomirskich, przeniesione w r. 1827 z Przeworska do Lwowa i związane z Ossolineum, choć swój ostateczny status prawny uzyskało dopiero w r. 1870, już około 1830 r. było urządzone i – jako pierwsze na ziemiach polskich – udostępnione publiczności. 30 lat później powstało Muzeum przy Bibliotece Baworowskich. Dzieła sztuki, zwłaszcza rzemiosła artystycznego, znajdowały się także w Muzeum Przemysłowym, otwartym w r. 1874. Zbiory artystyczne Muzeum Historycznego Miasta Lwowa, tworzonego od r. 1892, zostały w 1908 r. wydzielone jako główny składnik Muzeum Narodowego im. Króla Jana III. Wspomnieć też należy o kolekcjach prywatnych w lwowskich pałacach rodzin ziemiańskich, w pewnym zakresie udostępnianych zainteresowanym. Prywatna galeria w pałacu Włodzimierza Dzieduszyckiego (skądinąd twórcy publicznego Muzeum Przyrodniczego) i jego żony Alfonsyny z Miączyńskich na przełomie wieków została – jako Muzeum Miączyńskich-Dzieduszyckich – udostępniona szerokiej publiczności. Większość lwowskich zbiorów sztuki wywodziła się więc z ziemiańskich

galerii, toteż obejmowały one przede wszystkim różnej wartości dzieła nowożytnego malarstwa europejskiego, a w dalszej kolejności zespoły portretów tzw. sarmackich, wreszcie wytwory nowożytnego rzemiosła artystycznego (w tym przede wszystkim militaria i kobierce), a uzupełniały je dzieła polskiego malarstwa XIX w. [...]

Zainteresowanie dawną sztuką polską rozbudzały wystawy: starożytności, zorganizowana w 1861 r. przez Ossolineum, i Wystawa Archeologiczna Polska i Ruska, urządzona w 1865 z inicjatywy Krajowego Towarzystwa Archeologicznego. Zarówno

dawną, jak i współczesną sztuką polską ukazywała ekspozycja na Powszechnej Wystawie Krajowej w r. 1894, już w nowoczesny sposób przygotowana naukowo w latach 1892–1894 przez Władysława Łozińskiego i Jana Boloza Antoniewicza.

Służba konserwatorska Galicji kształtowała się w ramach wiedeńskiej Centralnej Komisji, która w 1856 r. powołała jako konserwatorów Pawła Popieła w Krakowie i Franciszka Stroińskiego we Lwowie. Miejsce Stroińskiego zajął w 1864 r. Mieczysław Potocki,

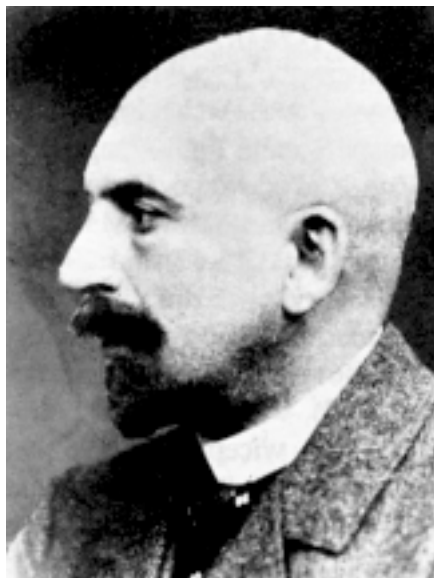
faktycznie inicjujący funkcjonowanie tego urzędu. [...] Na tej drodze powstała we Lwowie kolejna instytucja związana ze sztuką dawną. Grono lwowskie w r. 1892 rozpoczęło wydawanie czasopisma „Teki Konserwatorska – Rocznik Koła ck Konserwatorów Starożytnych Pomników Galicji Wschodniej”.

Rozwój sztuki współczesnej popierało Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, założone we Lwowie w r. 1866/67 na wzór starszego krakowskiego. [...] Działalność Towarzystwa obejmowała organizację wystaw, publikację ich katalogów, a we wczesnym okresie także udzielanie stypendiów artystycznych.



Władysław Łoziński

Inicjatywa utworzenia katedry historii sztuki na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego powstała w r. 1869. [...] Profesorowie tego Uniwersytetu zwrócili się do Władysława Łozińskiego (1843–1913) z propozycją objęcia katedry. Wydawał się on wówczas jedynym odpowiednim kandydatem: dysponował rozległą – choć dość jednostronną – wiedzą historyczną o sztuce Lwowa [...]. Fachowy autorytet Łozińskiego potwierdziła godność członka czynnego Akademii Umiejętności, uzyskana w 1890 r. Łoziński odmówił ubiegania się o katedrę [...], ale zobowiązał się dopomóc w wyszukaniu odpowiedniego kandydata. [...] Z niewiadomych przyczyn sprawa się przeciągała i dopiero w r. 1893 utworzono Katedrę Historii Sztuki Nowożytnej, na którą powołano Jana Boloza Antoniewicza (1858–1922) [...]. Pojmowanie historii sztuki jako nauki o dziełach wyrażających swą formą idee i uczucia ludzkie skierowało jego uwagę na twórczość wielkich mistrzów renesansu włoskiego, zwłaszcza Leonarda da Vinci.



Jan Boloż Antoniewicz

[...]. Drugim kręgiem zainteresowań Boloza Antoniewicza była sztuka nowoczesna (głównie polska), i to nie tylko dziewiętnastowieczna. [...]

W r. 1919 na Uniwersytecie Lwowskim (od 1918 – Uniwersytet Jana Kazimierza) utworzono Katedrę Sztuki Polskiej i Wschodnioeuropejskiej, którą objął Władysław Podlacha (1875–1951). Katedra o takiej nazwie, podkreślającej odrębność sztuki Europy Wschodniej, zasługująca na zainteresowanie nauki, na ziemiach polskich mogła powstać tylko we Lwowie, którego kulturę, łączącą elementy łańskiego Zachodu i bizantyńsko-ruskiego Wschodu, wzbogacały oddziaływania lokalnych tradycji ormiań-

skich i żydowskich i impulsy napływające z islamskiego Bliskiego Wschodu.

Epizodem w dziejach lwowskiego uniwersytetu, leżącym poza głównym nurtem dyscypliny, było utworzenie na Wydziale Teologicznym w r. 1919 Katedry Historii Sztuki Kościelnej z Uwzględnieniem Archeologii Chrześcijańskiej, powierzonej ks. Władysławowi Żyle (1877–1927), a zlikwidowanej po jego śmierci.

Opróżnioną po śmierci Boloza Antoniewicza Katedrę Historii Sztuki Nowożytnej objął w r. 1926 jego uczeń Władysław Kozicki (1879–1936), pisarz, krytyk literacki i polityk. [...] W 1933 r. katedra padła ofiarą reformy szkolnictwa wyższego.

Przy katedrze Podlacha działali uczeni już trzeciej generacji profesorów: Gębarowicz i Lanckorońska. Mieczysław Gębarowicz (1893–1984), zawodowo związany z Ossolineum [...]. Wybitny mediewista, piszący też o sztuce nowożytnej, dążył – wbrew tradycji lwowskiej historii sztuki – do wzbogacania tej nauki o precyzyjny warsztat metodologiczny historii. Po wojnie pozostał we

Lwowie, skąd przesyłał teksty źródłowych opracowań nowożytnej sztuki i kultury Lwowa [...].

Trzyletnim zaledwie epizodem była działalność uniwersytecka Karoliny Lanckorońskiej (ur. 1898), która jako docent podjęła zajęcia w 1936 r. [...], skupiając swe zainteresowania naukowe na włoskiej sztuce nowożytnej, przede wszystkim na twórczości wielkich mistrzów XVI w. [...], wpisała się w tradycję lwowską Boloza Antoniewicza i Kozickiego. [...]

Obok uczonych uniwersyteckich działali również i współtworzyli „szkołę lwowską” badacze – nawet nie zawsze będący wykształconymi historykami sztuki – zwią-

zani z innymi instytucjami naukowymi, muzealnymi czy konserwatorskimi [...]. Takim właśnie prywatnym uczonym był Tadeusz Mańkowski (1878–1956), ceniony adwokat, a później wybitny historyk sztuki o rozległych zainteresowaniach, którego liczne prace o sztuce Ormian lwowskich i o sztuce islamu poważnie wzbogaciły naukowy profil „szkoły lwowskiej”. Podejmując próbę charakterystyki samego tylko uniwersyteckiego środowiska, tak wyróżniającego się na tle innych ośrodków uniwersyteckich w Polsce, jestem świadom tego, że pominięcie dorobku badacza z uniwersytetem nie związanych, w jakimś stopniu upraszcza i zubaża obraz lwowskiej historii sztuki.

Dla uniwersyteckiej historii sztuki we Lwowie najbardziej charakterystyczne wydają się następujące cechy [...]:

- 1) głębokie zainteresowanie metodologią dyscypliny [...];
- 2) stały kontakt z europejską humanistyką [...];
- 3) odejście od archeologicznego traktowania sztuki w ramach historii kultury, uznanie jej pełnej autonomizacji i skupienie uwagi na formie dzieła, pojmowanej jako symptom myśli i uczuć ludzkich, jako przejaw twórczego geniuszu [...];
- 4) wyjście poza tematykę lokalną i podejmowanie zagadnień aktualnych w nauce europejskiej [...];
- 5) zainteresowanie sztuką nowoczesną, w tym współczesną [...].

Dzięki tym cechom lwowskie środowisko uniwersyteckie – jako właściwie jedyne w Polsce – uprawiało historię sztuki według standardów obowiązujących w nauce światowej. W swym otwarciu, rozległości horyzontów badawczych, świadomości metodologicznej było wyjątkiem w polskiej historii

sztuki, raczej prowincjonalnej, obciążonej grzechem pierworodnym starożytnictwa i długo wprzęgającej naukę w służbę idei narodowej.

Lwowskie środowisko nie tylko pozostawiło po sobie ważny dorobek naukowy, lecz także odegrało pewną rolę w kształtowaniu się innych polskich ośrodków historii sztuki. Nastąpiło to jednak dopiero po II wojnie światowej, choć uświadomienia tego typu zdarzały się już wcześniej. [...]

Kres istnieniu historii na Uniwersytecie Jana Kazimierza położyła II wojna. Po osta-

tecznym włączeniu w 1944 r. Lwowa do ZSRR na miejscu pozostał tylko Mieczysław Gębarowicz. Odcięty od warsztatu badawczego i izolowany, w przemyconych do Polski rękopisach prac starał się uratować dla nauki materiały dotyczące sztuki i kultury Lwowa [...]. Karolina Lanckorońska pozostała na emigracji i zarzuciła historię sztuki na rzecz historii, opracowując i publikując watykańskie źródła do dziejów Polski. Ocalałą część rodowej fortuny przeznaczyła na wspieranie polskiej humanistyki, głównie



Władysław Podlacha

przez udzielanie stypendiów zagranicznych; tej działalności nadała formę instytucjonalną, zakładając w 1967 r. Fundację z Brzezia Lanckorońskich.

Nestor lwowskiej historii sztuki Władysław Podlacha osiadł w 1946 r. we Wrocławiu, gdzie stworzył uniwersytecką katedrę, którą kierował aż do śmierci. W r. 1949 dołączył do niego Zbigniew Hornung (1903–1981), jego lwowski uczeń i – krótko – asystent, a następnie okręgowy konserwator zabytków, który we Wrocławiu kontynuował badania nad sztuką lwowskiego baroku i rokoka. Czteroletnim epizodem była jego praca dydaktyczna na Wydziale Sztuk Pięknych uniwersytetu toruńskiego, spowodowana

przejęciową likwidacją katedry wrocławskiej. Na wrocławskim uniwersytecie wykładała historię sztuki nowoczesnej Helena Blum (1904–1984), lwowska uczennica Podlachy, po wojnie związana na stałe z Muzeum Narodowym w Krakowie. Paru innych lwowskich historyków sztuki znalazło zatrudnienie w przeniesionym do Wrocławia Ossolineum i w tamtejszym Muzeum Śląskim (obecnie Narodowym).

Tadeusz Mańkowski zamieszkał w Krakowie, gdzie objął stanowisko dyrektora Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu, a równocześnie wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim historię sztuki Bliskiego Wschodu. I on kontynuował przedwojenne badania, m.in. nad sztuką islamu, a w r. 1974 ukazała się w Londynie jego synteza sztuki Lwowa. W Krakowie zamieszkały też dwie uczennice Podlachy: wspomniana już Helena Blum i Maria Rzepińska (1914–1993), która związała się z Akademią Sztuk Pięknych, gdzie doszła do stanowiska profesora. Prowadząc badania nad włoskim malarstwem renesansowym, Rzepińska przedłużała lwowską tradycję, wyznaczoną nazwiskami Błoza Antoniewicza, Kozickiego i Lanckorońskiej. Kilku lwowskich studentów historii sztuki (m.in. Lech Kalinowski) kontynuowało w Krakowie przerwane studia.

Badacz sztuki ludowej, Ksawery Piwocki (1901–1974), uczeń Podlachy pracujący w służbie konserwatorskiej i w muzeach, po wojnie osiedlił się w Warszawie, gdzie związał się z Akademią Sztuk Pięknych i z Państwowym Instytutem Sztuki (obecnie Instytut Sztuki PAN), wykładał też na uniwersytecie poznańskim.

Tragedia lat 1939–1944 przerwała istnienie „lwowskiej szkoły” historii sztuki. Równocześnie jednak rozproszenie lwowskich badaczy, z których kilku uzyskało katedry uniwersyteckie bądź podjęło dydaktykę w innych szkołach wyższych, spowodowało, że problematyka naukowa i specyficzna postawa metodologiczna, charakterystyczna dla Lwowa, przeniknęły także do innych polskich środowisk historii sztuki. Szczególnie Wrocław, gdzie znalazło nową siedzibę lwowskie Ossolineum, a katedrę uniwersytecką objęli kolejno Podlacha i Hornung, kontynuował tradycję lwowskiej historii sztuki.

ADAM MAŁKIEWICZ, ur. 1936 w Krakowie. Studia historii sztuki na UJ. Tamże od 1962 zatrudniony w Instytucie Historii Sztuki, obecnie, jako profesor, jest jego dyrektorem i kierownikiem Zakładu Historii Sztuki Nowożytnej. 1992–96 był wicedyrektorem Muzeum Narodowego w Krakowie. Jego zainteresowania badawcze dotyczą sztuki i architektury nowożytnej, szczególnie związków polsko-włoskich, nowożytnego piśmiennictwa o sztuce i dziejów historii sztuki jako dyscypliny badawczej. Opublikował m.in. książki *Teoria architektury w nowożytnym piśmiennictwie polskim* (1976) i *Theoria et praxis. Studia z dziejów sztuki nowożytnej i jej teorii* (2000).

Publikacja powyższego tekstu w naszym kwartalniku zbiegła się z przyznaniem Panu Profesorowi Adamowi Małkiewiczowi nagrody pn. Krakowska Książka Miesiąca, którą wybiera jury spośród prac o Krakowie i dzieł krakowskich autorów. Książka Laureata nosi tytuł „Theoria et Praxis. Studia z dziejów sztuki nowożytnej”. Składamy serdeczne gratulacje i życzenia dalszych sukcesów.

ERRATA

P. Stefan Berdak zwrócił uwagę na drobną nieścisłość w artykule o Romanie Cieślewiczu w CL 3/2000 na str.15: Cieślewicz – co prostujemy dla historii – znalazł się w Warszawie w r. **1955**, a nie 1951 (wiersz 13 od dołu).

W CL 4/2000, w felietonie na str. 1 w zdaniu na końcu pierwszego akapitu miało być: **nad naszą młodością czaiły się...** (a nie *nad naszą młodzieżą...*). Autorkę i Czytelników przepraszamy.

Andrzej Betlej

UWAGA! ZŁA KSIĄŻKA

Ostatnio nabyłem w księgarni przewodnik autorstwa Jacka Tokarskiego, zatytułowany *Ilustrowany przewodnik po zabytkach kultury na Ukrainie*, wydany w ub.r. przez Burchard Edition w Warszawie. Po książkę sięgnąłem z dużym zaciekawieniem, ponieważ ponad dwa lata wcześniej spotkałem się z jej wydawcą Przemysławem Burchardem i skierowałem go do znanych mi osób, kompetentnych do napisania takiego przewodnika. Tymczasem publikacja ta rozczarowuje. Jest mi niezręcznie to pisać, ponieważ wydawca, jak i jeden z autorów (*nb.* z niewiadomych przyczyn nie wymieniony na stronie tytułowej) dziękują mi za pomoc i rady... na które w żaden sposób nie zasłużyłem, nie widziałem bowiem tekstu przewodnika przed jego drukiem i bynajmniej nie mogłem udzielić jakichkolwiek wskazówek. Wydaje się, iż w ogóle żaden z historyków sztuki nie miał szans na dokonanie jakiegokolwiek korekty. Zadziwia rola redaktorów naukowych tej pozycji, dwóch naukowców ukraińskich, osób całkowicie nieznanymi w środowisku naukowym. Gorączkowo kartkując książkę, and razu zwróciłem uwagę na liczne, niestety, braki wśród materiału zabytkowego, opisanego w tekście. Uwagi moje ograniczę jedynie do wymienienia koniecznych uzupełnień (tylko w odniesieniu do dwóch obwodów: lwowskiego i stanisławowskiego, pomijając sam Lwów).

Przede wszystkim zaskakuje brak informacji historycznych dotyczących miejscowości, w których znajdują się opisane zabytki. Zadziwia dobór zabytków i brak wielu istotnych pamiątek przeszłości – np. jak można pisać o zabytkach Krystynopola pomijając kościół Bernardynów i cerkiew Bazylianów, a przy Dobromilu nie podając jakiegokolwiek wzmianki o klasztorze Bazylianów, mieszczącym się w dawnym zamku herbutowskim; podobnie przy Drohobyczu, gdzie brak wiadomości o kościele pokarmelickim. W przewodniku nie ma omówionych świątyń w Pomorzanach, Kamionce Strumiłowej, Stryju, Rozdole, Świrzu! Tego typu braków jest więcej (pełna lista obejmuje ponad 40 pozycji). Pomijam liczne błędy rzeczowe (datowanie kościoła w Felsztynie na XVIII wiek!) i edytorskie – np. tekst podany na temat kościoła w Krakowcu odnosi się w rzeczywistości do świątyni w Nawarii, a przy opisie kościoła

parafialnego w Mościskach zamieszczono rysunek kościoła Redemptorystów. Widoczne są dysproporcje w objętości haseł – gdzie np. niezbyt wybitnej świątyni w Medenicach [zresztą po zniszczeniu przez Sowieców odbudowanej w sposób nie całkiem zgodny z dawnym stanem – przyp. red.] poświęcono dwa razy więcej miejsca niż znacznie ważniejszemu kościołowi pokarmelitańskiemu w Milatynie. Oczywiście można tłumaczyć te braki skąpą mimo wszystko literaturą, jednak bliższa obserwacja tekstów pozwala stwierdzić, że autor przewodnika ewidentnie czytał *Materiały do dziejów sztuki sakralnej...* wydawane pod redakcją Jana K. Ostrowskiego, ale nie czytał ich dokładnie (albo wykorzystał wybiórczo). Poza tym lektury swoje ograniczył chyba tylko do ukraińskiego katalogu zabytków architektury – pomijając choćby wcześniejsze przewodniki autorstwa Orłowicza...

Innym aspektem wydawnictwa jest brak wielu istotnych dzieł sztuki i miejscowości, jak np. Szczerec, Chodorów, Gliniany, Kochawina, Nadwórna, Mikołajów, Przemysłany. Kolejnym niemiłym (delikatnie rzecz ujmując) fragmentem wydawnictwa są słowa wydawcy, skierowane pod adresem historyków sztuki – nie wiem czemu służące... i wręcz krzywdzące wiele osób, które oczywiście uważam za niedościgniony wzór. Reasumując – czytelnik otrzymał książkę niedoskonałą, a wręcz złą. Aby ją uratować, należałoby właściwie napisać kolejny tom erraty, obejmującej niemal wszystkie hasła – erratę, w której znalazłby się pominięte dzieła i miejscowości. A tymczasem – trzeba się wstrzymać od zakupu tomu.

Od Redakcji: niestety, za późno. W wielu księgarniach książka rozeszła się w mig, bo widać zapotrzebowanie na przewodnik po tej części naszych odciętych ziem jest szerokie. A kupuje się wszak kota w worku. W każdym razie naszym Czytelnikom i ich Znajomym, którzy tego przewodnika jeszcze nie zakupili – radzimy, aby się wstrzymali.

Natomiast pod adresem historyków sztuki (i nie tylko, także innych fachowców od turystyki) mielibyśmy całkiem inny postulat niż wydawanie erraty! Napiszcie przewodnik na nowo, kompetentnie. Na pewno rozejdzie się szybko. Trzeba napisać po polsku także o historii tej ziemi, o geografii, o wybitnych Polakach, instytucjach i wielkich szkołach. Z doświadczenia wiemy, że ludziom jeżdżącym w tamte strony (nawet tym, którzy z tamtych ziem pochodzą) brakuje podstawowych wiadomości, a domorośli przewodnicy wycieczek opowiadają czasem niestworzone rzeczy. Bo skąd mają czerpać wiadomości?

Panie doktorze Andrzeju, niech Pan coś wymyśli!

Tytuł artykułu pochodzi od Redakcji

Elżbieta Mokrzyńska

PROFESOR MAKAREWICZ

Prof. Juliusz Makarewicz jako rektor UJK



Dramatyczny – by nie powiedzieć: tragiczny – obraz naszego dzisiejszego prawodawstwa karnego i praktyki prawniczej w Polsce zwraca nasze myśli ku wielkiemu profesorowi prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza, rektorowi tej uczelni i senatorowi RP, Juliuszowi Makarewiczowi, którego 45 rocznica śmierci minęła w ubiegłym roku. Oto niewielki wybór z zestawu materiałów, dostarczonych nam przez p. dr Jolantę Olbrycht-Roguską, wnuczkę znakomitego karnisty. Serdecznie za to dziękujemy.

Dziełem życia J. Makarewicza jest polski kodeks karny z 1932 roku, którego był głównym współtwórcą (wraz z prof. Wacławem Makowskim). Kodeks był wysoko oceniany przez środowiska naukowe i polityczne ówczesnej Europy, świadcząc o dojrzałości polskiej myśli prawniczej. Kodeks ów był pierwszym, prawdziwie nowoczesnym, pełnym przenikliwości i precyzji prawniczej dziełem kodyfikacyjnym. Z tego też powodu dokonania Makarewicza dla polskiej nauki są nie do przecenienia.

Zasługą profesora Makarewicza jest wprowadzenie do prawa zasad *subiektywizmu i indywidualizacji kary*, uwzględnienie elementu stanu społecznego niebezpieczeństwa czynu ze strony sprawcy, nowatorskie ujęcie *podżegania i pomocnictwa*. Makarewicz wprowadził także koncepcję *dwutorowości*: wina sprawcy stanowi istotną podstawę odpowiedzialności, ale zarazem podstawę tę stanowi stan społecznego niebezpieczeństwa ze strony sprawcy.

Idee Makarewicza znalazły w latach międzywojennych odbicie w kodeksach karnych Danii, Szwajcarii i Włoch. Miarą nowoczesności tego aktu prawnego było i to, że obowiązywał on w Polsce bez mała lat 40, do końca lat sześćdziesiątych. Dopiero potem zaczęto prawo karne „poprawiać”, a efekty znamy z własnych obserwacji i mediów...

Juliusz Makarewicz urodził się w Samborze w 1872 r. Oboje jego rodzice czynnie uczestniczyli w powstaniu styczniowym. Ojciec był inżynierem kolejowym (jego dziełem jest m.in. wiadukt kolejowy nad ul. Lubicz w Krakowie) i z tego tytułu musiał zmieniać miejsca zamieszkania. Juliusz uczył się w Tarnowie i Krakowie, i tu w 1899 r. podjął studia prawnicze, kontynuował je w Niemczech. Pracę zawodową rozpoczął znowu w Krakowie i już wtedy musiał odznaczyć się samodzielnością myślenia, skoro czołowy przedstawiciel krakowskiej *klasycznej* szkoły prawa karnego prof. E. Krzymuski utracił jego docenturę na uniwersytecie.

Dopiero po kilku latach został w Krakowie profesorem nadzwyczajnym. Przez kilka lat niemal samotnie przeciwstawiał się poglądom luminarzy miejscowej szkoły prawniczej. Szczęśliwie w 1907 r. został zaproszony na Uniwersytet Lwowski jako profesor zwyczajny prawa karnego.

Aktywność naukowa prof. Makarewicza we Lwowie zaowocowała wydaniem wielu fundamentalnych prac, które postawiły go na czołowym miejscu wśród polskich *karnistów* 1. połowy XX w. Wydany po raz pierwszy w 1932 r. *Kodeks karny z komentarzem*

stanowi do dziś podstawowe źródło do badania i interpretacji ustawy karnej. Wiedzę z niego czerpało i czerpie wiele pokoleń polskich prawników. W latach 30. był Makarewicz prezesem sekcji prawa karnego Komisji Kodyfikacyjnej RP, czynnym członkiem Polskiej Akademii Umiejętności.

W czasie II wojny brał Makarewicz udział w tajnym nauczaniu akademickim. Okupanci sowieccy wywieźli go do Rosji, ale wypuścili po kilku miesiącach dzięki interwencji American Academy of Arts. Po wojnie nie wyjechał ze Lwowa. Żył tam w trudnych warunkach jeszcze przez 10 lat, zmarł w 1955 r. Spoczął na Cmentarzu Łyczakowskim.

Kim był Juliusz Makarewicz poza swoją działalnością prawniczą i profesorską? Warto zacytować parę ustępów ze wspomnień syna Romana.

[...] Mój ojciec był polskim narodowcem. Spokojnym, umiarkowanym, bez hurra-patriotyzmu, surm i defilad. Mógł powiedzieć za Kasproviczem:

*Rzadko na moich wargach
– niech dziś to warga ma wyzna –
jawi się krwią przepojony,
najdroższy wyraz: Ojczyzna.*

Rzadko, bardzo rzadko wymieniał słowo *ojczyzna*. Pamiętam jednak dobrze parę fragmentów jego patriotycznego wzruszenia. W listopadzie 1918, mając 13 wszystkowiedzących lat, wpadłem do domu z wiadomością: Tatusiu, Polacy zajęli już cały Lwów. Ojciec się nie odezwał, ale przytulił mnie mocno do siebie i wtedy to pierwszy i ostatni raz w życiu widziałem w jego oczach łzy. I jeszcze jeden drobny, a wymowny przykład. W 1919 r. pierwsze wydanie *Polskiego Prawa Karnego* poświęca PATRIAE RENASCENTI EX URBE SEMPER FIDELI HOMMAGIUM.

Niepraktykujący katolik, należał do partii chrześcijańsko-demokratycznej (chadecja), którą reprezentował w Senacie RP. Wybrał tę partię niewątpliwie przez uraz do wszelkich skrajności prawicowych czy lewicowych [...]. W ruchu chrześcijańsko-demokratycznym widział możliwości stosowania zasad etycznych, jakie daje religia. [...]

Przez akcję „Rozwoju” miał się podnieść polski stan posiadania na Kresach Wschodnich. Chadecja przez placówki „Rozwoju” starała się zorganizować polskich chałupników i drobny handel. Były to placówki o charakterze zdecydowanie ekonomicznym [...].

Ten profil polityczny nie byłby kompletny, gdybym pominął jego lwowski patriotyzm lokalny. [...] ... *miasto fantastycznie rozrzucone na licznych wzgórzach, pokrytych zielenią, wiele parków dyskretnych i zachęcających w ciepłe wieczory do szeptów intymnych, za miastem lasy, piękna okolica bliższa i dalsza, sąsiedztwo malowniczego Podola i Karpat wydobywało z pamięci porównania do Faunów, chichotu Dryad ściganych.*

Architektura miasta wykazywała wpływy Wiednia, piękne polskie zabytki rzucały się w oczy. Osobiście, gnębiony w Krakowie malarią i ischiąsem, darował nowemu miejscu pobytu wszystkie jego intelektualne czy moralne niedostatki, z wdzięczności za powrót do zdrowia i doskonałe samopoczucie. Mogłem ubolewać nad lekkomyślnością otoczenia, ale nie dokuczało mi wcale. Ludzie lekkomyślni bywają w stosunkach codziennych przyjemniejsi od spiżowych charakterów. [...]

W listopadzie 1918 odkryłem rzecz nową, okazało się, że mimo pozorów kosmopolitycznych, Lwów jest miastem polskim, polskość swą pojmuje ogromnie naturalnie, ale ogromnie na serio. Ten odruch miasta, który połączył starców i dzieci, kobiety z wszystkich warstw, cnotliwe i lekkomyślne, który w czasie walk ulicznych, jak również w czasie późniejszego wielomiesięcznego ostrzeliwania miasta wytworzył z Polaków lwowskich jakby jedną wielką, bohaterską rodzinę, wydobyl na jaw duszę Lwowa, duszę gorącą, rycerską. Mawiano dawniej o wybuchach lwowskiego patriotyzmu jako o tromtadracji. Okazało się, że to nie była poza, to jest polskość żywiłowa, która woli śmierć niż zakucie ducha w kajdany. Kiedy w dwa lata później podsunęli się bolszewicy pod samo miasto, kiedy oddziały kozackie pojawiły się na przedmieściach, a jednak później główne dowództwo (Stalin i Budionny) zaniechało wkroczenia do miasta, mówiono o obawach bolszewickich przed ludnością lwowską. Bolszewicy mieli informacje, że każdy dom będzie fortecą, przypuszczam, że mieli informacje dobre. [...]

Dziś [lata międzywojenne – przyp. red.] Lwów powraca do formy, powoli się rozbudowuje, czyści i reguluje. Utracił swoją biurokrację na rzecz Warszawy, za to pozyskał wybitne siły naukowe. Uniwersytet i Politechnika wykazują niebywały wzrost, towarzystwa naukowe wykazują tempo pracy, o które Lwowa dawniejszego nie można było posądzać. Teatry osiągnęły poziom wysoki, jak za Pawlikowskiego. Lwów ma warunki rozwoju gospodarczego niezwykle wielkie, niedo-

niane, ma szanse odgrywania w Polsce pierwszorzędnej roli. Szczęrze mu tego życzę. Kochane miasto.

[...] Nadeszły czasy, kiedy ojca „kochane miasto” przestało istnieć. Wielu oficerom rozbitej lwowskiej armii pomagał w ucieczce do Rumunii albo w powrocie do rodzin. Dawał im cywilne ubrania i wspomagał pieniądze. Sam jednak nie wyjechał, nawet nie próbował. Może z uwagi na swój wiek, może w nadziei że Lwów, podobnie jak w pierwszej wojnie światowej, tylko czasowo dostał się w ręce nieprzyjaciół. A może przez swoją wielkopańskość, która nie pozwalała mu na mieszanie się z tłumem uchodźców. Może zatrzymały go w domu portrety rodzinne, obrazy współczesnych polskich malarzy i włoskiego Renesansu, księgozbiór polskich wydawnictw z XVII i XVIII wieku [...]

Okupanci sowieccy wywieźli ojca do Rosji [...] Po sześciu miesiącach władze sowieckie pozwoliły mu wrócić do Lwowa, na własne śmiecie, które wtedy dosłownie już tak wyglądały. Z dużego gmachu naszej willi przy ul. Mochnackiego 58 przydzielono mu dwupokojowe mieszkanie. [...]

Oczywiście była jeszcze możliwość powrotu do „wolnej” Polski, tzn. do Krakowa czy Wrocławia. Ale „pan z Mochnackiego” nie mógł się dopatrzyć różnicy między wolnością Polski a wolnością sowieckiej Ukrainy. Wolał zostać we Lwowie i patrzeć na zachód słońca za Cytadelą lub na Wysoki Zamek, albo na ogród, w którym przed półwieczem sadił z żoną i dziećmi małe drzew-

ka. Z tych drzewek wyrosły teraz olbrzymie drzewa. Tylko wszystko inne skartłowaciało, rozsypało się w próchno. [...]

W CL 3/97 zamieściliśmy wiersz autora powyższego wspomnienia, Romana Makarewicza, pt. „Kamionka Strumitowa”, a także jego notkę biograficzną, podaną jeszcze za jego życia. Zmarł na Hawajach w 1998 r.

I jeszcze bardzo osobiste wspomnienie z lat dzieciennych wnuczki Jolanty (z niewielkimi skrótami):

Mój dziadek, profesor Juliusz Makarewicz, był żonaty z córką profesora okulistyki [z Krakowa – przyp. red.] Bolesława Wicherkiewicza, Marią. Mieli troje dzieci – dwóch synów, Emila i Romana, oraz córkę Zofię, moją matkę. Urodziłam się we Lwowie, w domu dziadka (babcia już nie żyła), gdzie mieszkali też moi rodzice, na ulicy Mochnackiego 58. Dom rodzinny był duży, wielopokojowy, z ogrodem. [...] Dziadek Juliusz, po powrocie z zajęć na Uniwersytecie, zajmował się mną. Latem o szóstej rano wychodziliśmy do ogrodu na trawę i w celu hartowania, chodziliśmy boso po rosie. Posiłki jedliśmy zawsze w jadalni. Dziadek upominał mnie, abym przed jedzeniem umyła ręce, *bo na klamkach mogą być bakcyle i bakterie*, jak mówił. Te tajemnicze istoty fascynowały mnie – to, że ich nie widzę, a są, i to groźne. Możliwe, że te słowa dziadka tkwiły w mojej podświadomości, bo na studiach przyrodniczych na UJ wybrałam kierunek mikrobiologii

Willi rodziny Makarewiczów we Lwowie przy ul. Mochnackiego 58



i w tej dziedzinie pracowałam czterdzieści lat. Pamiętam szczepienie mnie przeciw ospie – wrzeszczałam i wyrwałam się, ale gdy zjawił się dziadek, uspokoiłam się natychmiast.

Dziadek zabierał mnie do Parku Stryjskiego i do lasu autem „na szesnasty kilometr”, gdzie zbierałam poziomki. Lato spędzaliśmy na Wólce Panieńskiej, gdzie dziadek miał letni dom.

Moja matka po separacji z moim ojcem przeniosła się do Krakowa, urządziła dla nas mieszkanie na pierwszym piętrze domu na ul. Czapskich 5, tam gdzie za swego życia dziadek Wicherkiewicz miał swoją prywatną klinikę okulistyczną (obecnie tam jest hotel). Przyszedł czas rozstania z ukochanym dziadkiem i ze Lwowem. Pamiętam jak bardzo płakałam, nie chcąc wyjeżdżać! Dalsze kontakty z dziadkiem były sporadyczne: na Boże Narodzenie w 1935 r. w Żegiestowie, gdzie byłam z matką, przyjechał dziadek do sanatorium, albo gdy w 1938 r. miał operację w szpitalu (obecnym kolejowym) w Krakowie i odwiedzałyśmy go tam z matką. Ostatni raz przyjechał do Krakowa po jakimś czasie na kontrolę lekarską.

Przed wojną 1939 r. matka prosiła go, aby przeniósł się do Krakowa lub Zakopanego, gdzie wówczas mieszkaliśmy, ale odmówił. Podczas wojny pisywał do nas i nawet wtedy przysyłał dla mnie drobne kwoty pieniędzy.

Po wojnie [...] nie chciał się ze Lwowa repatriować. Napisał do matki: *na trzęsawisku nie należy wykonywać ruchów*. Kochał Lwów i swój dom i łudził się, że wszystko się zmieni, a on uratuje majątek dla dzieci.

Zmarł w kwietniu 1955 r. na wylew do mózgu, po dwóch tygodniach męczarni. Dostałam pozwolenie na wyjazd do Lwowa dopiero po pół roku po jego śmierci. Odwiedzający mnie Polacy w domu rodzinnym zrujnowanym, pustym i przerażającym (m.in. dr Mossing) opowiadali, że dziadek był postacią niezwykłą, ale nieufny – nie chciał się leczyć u lekarzy ukraińskich. Dużo przecierpiał – nawet psa mu zatłukli kamieniami ukraińscy chłopcy wrzeszcząc *pańska sobaka!* Musiał sam sprzątać śnieg na ulicy wzdłuż swojej posesji. Tak wspinały człowiek, a tak straszną miał starość!

Został pochowany na Łyczakowie w grobowcu Makarewiczów.

JOLANTA OLBRYCHT, zam. ROGUSKA, ur. 1929 we Lwowie. Po wojnie w Krakowie, tu ukończyła w 1952 studia na Wydziale Fil.-Przyrodniczym UJ, doktorat z zakresu mykologii i bakterjologii lekarskiej 1980. Pracowała w laboratoriach służby zdrowia, od 1991 na emeryturze.

Z Marią Iwanową

LWOWSKĄ POLONISTKĄ

rozmawia
Teresa Dutkiewicz

*To nic, że trzy srebrne włosy
jak trzy promienie w obłokach,
dla mnie urody masz dosyć,
mógłbym się w tobie zakochać,*

*bo w twojej, miła, urodzie
jest światło, które w świat biegnie
i rośnie w tym świetle młodość,
żeby budować wciąż piękniej.*

K.I. Gałczyński

Ustronny, gustownie urządzony pokój. Gdziekolwiek pada wzrok, spoczywa na książkach. Książki tu żyją, są nieodłącznymi przyjaciółmi mieszkańców tego gościnnego, spokojnego, ciepłego domu. Na ścianach obrazy współczesnych twórców – martwa natura, pejzaże. Każdy z nich posiada swoją historię, jest powiązany z konkretną osobą.

Obraz o przedziwnej kompozycji, wykonany techniką kombinowaną, jest prezentem od od słynnej Ireny Jun. Inny, na którym jest natura martwa, opatrzono dedykacją: *Aby kwiaty polskie w nieustannym kwitnieniu przywoływały najpiękniejsze wspomnienia znad Wisły, aby jednoczyły nadziejami polskiego domu. Dziękujemy za trwanie w miłości, pomimo granic i wszelkich podziałów. Podlaski OS „Wspólnota Polska” w Białymstoku, listopad 2000.*

Siedzimy wygodnie w fotelach. Za oknem zamieć, chociaż jest prawie połowa lutego. Ogromne płatki śniegu wirują w rozpiętym tańcu, jakby obawiając się kontaktu z chłodnym brukiem, gdzie zaczną topnieć. Jak na zamówienie z radioodbiornika nastawionego na falę I programu Polskiego Radia w Warszawie płynie wiązanka melodii z dawnych lat, lat naszej młodości.

Profesor i uczennica. Mamy mówić o trwaniu w miłości do wartości najcenniejszych, które prze-

kazali nam rodzice, które przekazujemy dzieciom. Przymykam na chwilę oczy i jak w barwnym kalejdoskopie zmieniają się obrazy. Szkoła, lekcje, nauczyciele. O pani Marii moja szkolna koleżanka Marta Szemley napisała: *...przyszłaś do nas w niebieskiej sukience...* Nie pamiętam. Widocznie jednak tak było. Na pewno była młoda, energiczna, potrafiła, nie bacząc na znikomą różnicę wieku między nami utrzymać dystans, zjednać sobie nas i wzbudzić szacunek. Było to w roku 1957...

Dziś mam przed sobą srebrnowłosą Profesor o dobrym, poważnym, bystrym, chociaż nieco zmęczonym spojrzeniu.

T.D.: Po ukończeniu szkoły zdecydowała się Pani studiować.

M.I.: Byłam absolwentką szkoły nr 24. Zdecydowałam się na studia na Uniwersytecie Lwowskim. Geografię, historię ZSRR trzeba było zdawać w języku rosyjskim, ewentualnie ukraińskim. Słabo władałam tymi językami. Egzaminatorzy wykazali wyrozumiałość, mogłam odpowiadać po polsku. Egzaminacje zdałam pomyślnie, lecz nie znalazłam swego nazwiska w spisie przyjętych studentów. Byłam zrozpaczona. Zwróciłam się do rektoratu o wyjaśnienie. Okazało się, że powodem mego pecha był... mój wiek. Nie miałam ukończonych 17 lat. Jednak na moją usilną prośbę, z uwzględnieniem sytuacji rodzinnej, zostałam najmłodszą studentką na kursie. Pojawił się kolejny problem – trzeba było zapłacić czesne. Ciocia wyciągnęła z jakiegoś schowka sznurek pereł i każe załatwić sprawę. Już nie pamiętam, na ile została oceniony, ale na czesne wystarczyło. Pierwszy semestr był bez stypendium. Po pomyślnym jego zaliczeniu przyznano mi stypendium. Byłam szczęśliwa.

Może kilka słów o powojennej polonistyce, a raczej sławistyce na Uniwersytecie.

Kierownikiem Katedry Słowiańskiej – tak się wówczas nazywała – był profesor Maślak. Bardzo miły, bardzo wytworny starszy pan, którego wszyscy czemuś się panicznie bali. Wykładał język czeski. Prof. Andel wykładał gramatykę słowiańską, prof. Michał Onyszkiewicz prowadził język polski. Ten był skarbnicą wiedzy, którą potrafił przekazać. Jemu mam do zawdzięczenia to, czego się nauczyłam z języka polskiego na



Maria Iwanowa

studiach. Był Ukraińcem, ale jego polszczyzna była do pozazdroszczenia. Szanowałyśmy go (grupa była żeńska), podkochiwałyśmy się w nim, był dla nas niepodważalnym autorytetem. Po latach kilkakrotnie miałam kontakt z Profesorem, kiedy pracowałam w szkole. Przyprawdzał swoich kolejnych studentów na praktykę. Wśród profesorów jedynym Polakiem był prof. Woroniecki, który wykładał literaturę polską.

Studia uniwersyteckie były swoistą szkołą życia. Wówczas nie istniały zasady kumoterstwa, student otrzymywał oceny za faktyczną wiedzę [były to wczesne lata powojenne – przyp. red.]. Profesorowie szanowali nas, a myśmy szanowali profesorów.

Spotkanie z pedagogiką...

Kiedy podjęłam studia na Uniwersytecie, wcale nie miałam zamiaru zostać nauczycielem. Starłam się wychować w sobie naukowca, należałam do stowarzyszenia studenckiego „Młody naukowiec”, występowałam z referatami o poetach i pisarzach polskich. Przy dawnej ulicy Mochackiego znajdowała się bardzo bogata biblioteka uniwersytecka, tam byłam częstym gościem. Studiowałam materiały naukowe, marząc o karierze uczonej.

Będąc studentką IV roku trafiłam na praktykę. Była to szkoła nr 10. Tak się zdarzyło, że zaproponowali mi prowadzenie

lekcji w zastępstwie chorej nauczycielki. Zaimponowała mi ta propozycja i muszę przyznać, że spodobała mi się praca z młodzieżą szkolną. Już wtedy zastępca dyrektora po kilku wizytacjach na moich lekcjach nadmienił, że gdyby w szkole był wolny etat, chętnie by mnie zaangażował do pracy. Pochlebilo mi to, owszem, ale nadal nie myślałam na poważnie o pracy pedagogicznej w szkole.

A dalsze losy?

Na piątym roku uświadomiono nam brutalnie, że marzenia o pracy naukowej mogą pozostać w sferze marzeń, a jedyną dalszą drogą jest praca pedagogiczna. Obowiązywał wówczas przydział pracy. Wybrałam Sokołówkę, wieś oddaloną od Lwowa około 100 kilometrów. Wykładałam język i literaturę rosyjską. W Sokołowie przekonałam się, jak niewiele dał mi uniwersytet, jeśli chodzi o przygotowanie do wykonywania zawodu nauczyciela. Życzliwi koledzy podpowiedzieli, jak należy pisać konspekt, składać plan lekcji itp.

Pracowałam tam pół roku. Zdecydowałam przypadkiem. Pracowało mi się dobrze, chociaż była to wioska, w której prawie z każdej rodziny ktoś był represjonowany, a wykładałam, nie zapomnijmy, język rosyjski. Nie zaznałam jednak żadnej przykrości.

Bardzo tęskniłam za Lwowem. Najgorsze były wieczory. Książki przywożone ze Lwowa nie mogły zastąpić kontaktu ze śró-

dowiskiem, w którym wyrosłam. Byłam bliska załamania, kiedy dowiedziałam się, że lokatorka, której zaufałam, stara się mnie wymeldować ze Lwowa. Gdyby się jej udało, przekreślałoby to możliwość powrotu po trzech latach do rodzinnego miasta. Gdy zrozpaczona przyjechałam jakiejś niedzieli do Lwowa, moi szkolni koledzy podjęli decyzję za mnie – spakowali rzeczy lokatorki, wystawili je za drzwi i zmienili zamki. Zabrała rzeczy i nigdy więcej się nie pokazała. Po powrocie do Sokołówki odbyłam rozmowę z dyrektorem szkoły. Zrozumiał sytuację, ale w książeczce zaznaczył, że opuściłam pracę samowolnie. Nie odpracowałam przepisowych trzech lat...

Powrót do Lwowa, i co dalej?

Zaczęło się moje tułactwo w poszukiwaniu pracy. Po kilku dniach pracy na poczcie kierownik wypowiedział mi. Nie mógł trzymać urzędniczki z wyższym wykształceniem. Miałam szukać zajęcia odpowiednie do kwalifikacji. Nie było. Zdeterminowana podjęłam pracę zaopatrzeniowca w przedszkolu, nie przyznając się do wyższego wykształcenia. Musiałam za coś żyć.

Przypadek sprawił, może Opatrzność, że dowiedziałam się, iż dyrektor szkoły nr 10 poszukuje polonistki po śmierci pani Marii Jaworskiej. Przyszłam do szkoły. Pokazałam zapis w książeczce pracy dyrektorowi i opowiedziałam o powodach podjęcia takiej decyzji. Zabrał książeczkę i poprosił, by przyjść za kilka dni. Nie wiem, jakich argumentów użył w kuratorium. Zostałam przyjęta, stało się to 8 marca 1957 roku. W tym też dniu rozpoczęła się moja wieloletnia praca w szkole nr 10.

Pamiętam, kiedy jako uczniowie klasy przedmaturalnej urządziliśmy Pani po pierwszej naszej wspólnej lekcji swoisty egzamin. W sposób perfidny i na swój sposób okrutny. Trzeba przyznać, że ta pierwsza lekcja zadecydowała, iż zaakceptowaliśmy młodą nauczycielkę. Rozstając się w następnym roku już jako wychowankowie, byliśmy prawie przyjaciółmi na ile to było możliwe w relacji uczeń – nauczyciel.

Pamiętam ten pierwszy dzień i ten „egzamin”. Po wejściu do kancelarii poprosiłam dyrektora, żeby zwolnił mnie od wykład-



Teresa Dutkiewicz

dów w tej klasie. Z uśmiechem na twarzy powiedział, że nie uczyni tego i oznajmił, że właśnie będę wychowawczynią tej osieroconej klasy.

Proszę więc o pracy w szkole.

W okresie, gdy przyszedłam do szkoły, pracowało w niej wielu doświadczonych, poważnych, odpowiedzialnych pedagogów. Nauczanie wszystkich dyscyplin odbywało się w języku polskim. Nauczanie języka i literatury polskiej stało na bardzo wysokim poziomie. Uczniowie władali piękną polszczyzną. Wykładałam w starszych klasach. W ciągu dnia uczyłam młodzież, a wieczorami i nocami dokształcałam się sama. Do wielu spraw trzeba było dochodzić samej, mieć ogromne wyczucie. Już wkrótce moją największą miłością stały się dzieci i młodzież, a największą pasją – praca z nimi. Miłość i pasja trwają do dziś. Z wzajemnością chyba.

Przed kilkunastu laty otrzymałam ofertę pracy na Uniwersytecie. Podjęłam się wykładania na kursie języka polskiego, równocześnie pracując w szkole. Nie sprawiło mi to żadnej satysfakcji. Po roku zrezygnowałam z tych wykładów, zostałam wierna szkole, chociaż propozycje ponawiane były wielokrotnie.

Trudne, dramatyczne i piękne chwile w pracy pedagogicznej?

Na początku lat 80. po raz kolejny władze oświatowe miasta usiłowały połączyć obie polskie szkoły. Przyjechał konsul RP z Kijowa. Po wizytacji obu szkół prawdopodobnie miał wypowiedzieć swoje zdanie na ten temat. Do szkoły przybyła delegacja. Zdając sobie sprawę z sytuacji, trzeba było zamienić z konsulem kilka słów. Miał dobrą i „szczelną” asystę. Zadanie powierzono mnie. Schodząc po schodach do sali udało mi się wypowiedzieć do konsula dwa zdania – *Istnienie dwóch polskich szkół jest konieczne. Prosimy nie lać wody na ich młyn.* Spotkanie ze społecznością szkolną było ciekawe. Młodzież zademonstrowała swoje umiejętności artystyczne. Konsul, dziękując za spotkanie, podkreślił potrzebę funkcjonowania obu szkół polskich we Lwowie...

Do najbardziej **d r a m a t y c z n y c h** należą dla mnie z pewnością dni z października 1981 r., kiedy to moja córka została

wyrzucona z konserwatorium za *naruszenie porządku publicznego*, a mianowicie za złożenie wraz z kolegami kwiatów u stóp pomnika Adama Mickiewicza po otwarciu kolejnego sezonu teatralnego Polskiego Teatru Ludowego. Już w następnym dniu przed pierwszym dzwonkiem do klasy weszło dwóch panów, którzy zawiadomili, iż będą obecni na lekcjach. W ciągu dwóch dni nie wychodzili z klasy nawet podczas przerw. Starałam się prowadzić lekcje jak zwykle. Tylko ja i siedzący w klasie panowie wiedzieli, że ważą się losy mojej dalszej pracy w szkole. Dzieci pracowały nie domyślając się niczego. W drugim dniu, po lekcjach, jeden z nich podszedł do mnie i w imieniu obojgu podziękował mi. Pożegnali się i odeszli. Zrozumiałam, że moja sytuacja „wiszącej na włosku” minęła. Mogę pracować nadal w szkole. Odprężenie graniczyło ze stanem przedzawałowym. Nie wątpię, że mądrość i postawa ówczesnej pani dyrektor Marii Wasiunyk (pierwszej dyrektorki Polki w latach powojennych) w dużej mierze zaważyła na uspokojeniu zaistniałej sytuacji.

T r u d n e chwile... Istniała w drugiej połowie lat 80. tendencja rozsadzania szkoły od wewnątrz. Byłam jedną z tych, której należało się pozbyć. Na dodatek miałam poważne kłopoty zdrowotne, one też posłużyły jako pretekst do próby pozbycia się mnie. Co było najbardziej bolesne – że za pośrednictwem kilkusobowej grupki rodziców. W podaniu, złożonym przez nich do kuratorium z wnioskiem o zwolnienie mnie, motywowano niemożność zapewnienia przeze mnie należytego nauczania, spowodowaną całkowitą atonią. Lekarz, który podpisał taką diagnozę, nie znał mnie, ani też nie widział.

I t u kolej na **p i ę k n e** chwile... Zwołano ogólnoszkolne zebranie, podczas którego rodzice jak jeden mąż stanęli w mojej obronie. Jedną wypowiedź mojej pierwszej wychowanki, Zofii Sokołowskiej – a w owym czasie matki uczennicy – pamiętam do dziś: *Pani Iwanowa, gdyby była nawet niema, to z całą pewnością nauczyłaby więcej niż niektórzy nauczyciele z silnymi głosami.* Większość rodziców różnych okresów potrafiła walczyć o szkołę, stanąć w obronie godności nauczyciela. Zresztą uczniowie również. Taka to nasza, mimo wszystko, wspólna społeczność.

Pomówmy teraz o polonistyce, o problemach nauczania. Szkolnictwo polskie na Ukrainie w latach powojennych funkcjonowało tylko we Lwowie. O jego znaczeniu dla naszej polskiej społeczności, trudnościach, może Pani powiedzieć najwięcej.

Całkowity brak podręczników w tamtym okresie sprawiał ogromne trudności w nauczaniu. Młodzież prowadziła konспекty na podstawie wykładów. Nasze wiadomości służyły młodzieży za podstawę ich wiadomości, co nakładało na nas ogromną odpowiedzialność. Nie można było wykładać literatury polskiej, nie mówiąc o historii Polski. W istniejącej sytuacji politycznej było to jednak niebezpieczne. Wykłady graniczyły z konspiracją. Dojrzałość młodzieży była nadzwyczajna, nie było żadnej wpadki, mimo iż w szkole pracowały „wtyczki”. Poza tym młodzież dużo czytała. Każda lektura z trudem dostawana była zaliczana. Obecnie to zjawisko zanika zupełnie – film, telewizja, wideo...

Ale wróćmy do tamtych czasów. Choć może to brzmieć niewłaściwie, ale czasopisma młodzieżowe PRL-u były w naszych warunkach pomocne w nauczaniu. Nie wszystko było nie do przyjęcia. Młodzież prenumerowała czasopisma, kosztowały kopiejki. W latach 60–70. korzystaliśmy z podręczników wydawanych w Wilnie, z czasem pojawiły się wydawane w Kijowie. Wraz z kolegą Władysławem Łokietką opracowaliśmy podręczniki do języka polskiego i literatury polskiej. Borykając się z problemami nasza młodzież miała swoje ambicje i starała się dostać na wyższe uczelnie. Na podstawie statystyki w latach 1948–96 wykształcenie wyższe otrzymało 46% absolwentów naszej szkoły, a 16% zawodowe, średnie specjalne.

Trudności ideologiczne, o których wspomniałam, pokonywać było nielato. Istniały organizacje pionierska i komsomolska, niezbyt sprawnie funkcjonująca. W czasie świąt religijnych regularnie nadchodziły rozporządzenia z kuratorium, zatrzymujące i nas, i młodzież jak najdłużej w szkole. Świętując w domach, dbaliśmy, aby nikt niepożądany w tym okresie do nas nie zawitał. Nauczyciele musieli dyżurować pod kościołem. Była to jedyna okazja, by wejść do kościoła i pomodlić się w duszy. Zdawaliśmy sobie spr-

wę, że my również jesteśmy kontrolowani. Naturalnie nigdy żadnego ucznia nie widzieliśmy.

Czy miała Pani okazję wyjechać na drugą stronę granicy?

Od początku lat 60. nauczyciele obydwu szkół w okresie wakacji mieli możliwość wyjazdu do Polski na kursy podwyższenia kwalifikacji w dziedzinie polonistyki. Jeździli wszyscy – historycy, matematycy, fizycy, biologowie, chemicy, rusycyści, nauczyciele wf... oprócz mnie. Na moje pytanie – *dlaczego?* nie otrzymywałam odpowiedzi. Dopiero w 1979 r. po raz pierwszy zostałam zakwalifikowana na kurs. Gdy przyjechałam, usłyszałam: *Nareszcie! Tyle o pani słyszeliśmy.* Poznałam wtedy wielu wspaniałych profesorów – Wojciecha Podgórskiego (dyrektora kursu), Barbarę Krydę, Irenę Szypowską, Józefa Rurawskiego i innych. Z niektórymi do dziś utrzymuję kontakt.

Programy nauczania, wymiar godzin języka i literatury polskiej w szkołach polskich – jak to dzisiaj wygląda?

Nauczanie w szkołach polskich we Lwowie realizowane jest według programów, które opracowaliśmy z Władysławem Łokietką. Są to programy bardzo obszerne, bowiem przed 10 laty mieliśmy cztery godziny języka polskiego i dwie godziny literatury, teraz mamy dwie – języka i dwie – literatury. Musimy skracać program, co siłą

(ciąg dalszy na s. 61)



Anna Kostecka

POLSZCZYŻNA MOŚCISK

*Powoli rosła nasza mowa
początek jej daleki,
powoli hartowała słowa,
przez wieki, długie wieki.*

R. Pisarski *O mowie polskiej*

Mościska to pierwsze miasto za dzisiejszą wschodnią granicą, oddalone od Przemysła na wschód o 28 km, od Lwowa na zachód o 60 km. Mieszka tam około 3200 Polaków, co stanowi 1/3 mieszkańców miasta. Cztery kilometry na południe od Mościsk znajduje się polska wieś – Strzelczyńska, w której zamieszkuje ponad 700 Polaków. W pozostałych wioskach powiatu mościskiego jest ich od 15 do 40%.

Język ludzi z kresów zawsze budził zainteresowanie językoznawców, był opisywany przez badaczy poszczególnych terenów. Obszerną pracą, która opisuje język lwowiaków do 1939 r., jest praca prof. Zofii Kurzowej.

Ja zajmuję się słownictwem ludności polskiej z Mościsk i chcę je tu przedstawić. Co prawda nie jest to jakaś odrębna gwara, ale jak głosi przysłowie: „*co wieś, to inna pieśń*”, tak i w języku tych ludzi są ciekawe zjawiska, wyrazy czy zwroty, nieznanne na innych obszarach tej ziemi.

Polszczyżna Mościsk ma charakter mieszany, jest niejednolita, co wynika z uwarunkowań historycznych. Ludność polska zasymilowała się z otoczeniem, z mieszkańcami, z którymi jej przyszło żyć i pracować.

Najdłużej broniły się przed obcymi wpływami pokolenia dziś najstarsze, z lat przed pierwszą i drugą wojną światową. Pokolenia te urodziły się i wyrastały w państwie polskim, a więc świadomość narodowa na zawsze pozostała w ich sercach i umysłach. Do dziś w ich kontaktach z ludnością ukraińską dominuje język polski. Słownictwo przez nich używane jest już po części przestarzałe, głównie dlatego, że przedmioty, których dawniej używano zamieniono na nowoczesne, elektryczne. Jednak do dziś, najczęściej po wsiach, można usłyszeć takie wyrazy jak: *balia* – żelazna wanienska,

maśniczka, przetak, makitra, magłownica, koromysło, żarna, bambetel, które też często są jeszcze używane. Do lasu chodzili po *huby* i *ostrożyny* (grzyby i ożyny, jeżyny), w polu sadzili *piechotę* (fasolę). W niedzielę na mszę zakładali *kościelne ubrania*, np. *żupany, sukmany, spódnice z dymy, krajki, płachty*. Gospodynie w kuchni zakładały *zapaski* i przyrządzały różne dania: *knydli, pynczak, mamałygę, ścirankę, placki na sodzie*. Swat przychodził z narzeczonym na *okliszczyzny* czy *zalaty* – zaręczyny; zimą chodzili po domach z *herodami* – jasełkami *szczedrakować*. *Baciarnia, szajgiernia* (*szajgiec* – młody chłopiec) do dziewczyn *smałiła cholewki*, pasąc krowy *bajtłowała*, na zagumniu – *gziła się*.

Wyrazów tych po części używało także następne pokolenie, gdyż często słyszało je od rodziców. Jednak pokolenie lat 50–70. wchłonęło w siebie najwięcej obcych pierwiastków. Decydującym czynnikiem była tu polityka owych lat. Wielu wówczas ukrywało się ze swoim językiem rodzimym, czy też ukrywało swoje pochodzenie. Język polski ograniczano do najbliższego sobie grona. Wielu zmieniało swój język, a nawet swoją narodowość. Spowodowało to zatarcie najważniejszych cech właściwych dla języka polskiego. Wtedy też słownik mieszkańców został poszerzony o wyrazy zapożyczone lub przekształcone, np. *rajono* – urząd rejonowy, *czesny* – sprawiedliwy, *blank* – blankiet, *nagana* – upomnienie, *przywyczka* – przyzwyczajenie, *piłosos* – odkurzacz, *dekret* – urlop macierzyński, *anigdot* – kawał, żart, *stydno* – wstyd, *posyłka* – paczka, *rozpisać się* – zawrzeć ślub cywilny, *familiant, bania* – łaźnia, *bosonożki* – sandały, *elektryczka* – pociąg. Na określenie rzeczy, ubrań używają: *kacabajka, przyczyndali, maneli*. Dużo jest wyrazów nacechowanych ekspresywnie: *frajer, gałgan, jadak, szandrapa, szajgiec, szubrawiec, dziadolyga, frygać, dziawkać, kumekać, rejzować*.

Jak widać, język Polaków tego okresu jest bardzo mieszany. Świadomość ukrywa-

nia pochodzenia przetrwała do dzisiaj, chociaż zmieniło się natężenie zjawiska. Zachwiana również została świadomość narodowa. Jednak było też sporo rodzin polskich, które nie szczędziły sił, by nauczyć dzieci języka ojczystego, by przedłużyć ród polski. Ich elementarzem, a nawet i jedyną książką był modlitewnik.

Najmłodsze pokolenie, czyli pokolenie lat 80–90., ma przed sobą wielkie zadanie. Dzieli się je na dwie grupy: dzieci polskojęzyczne z ukraińskim językiem nauczania oraz z polskiej szkoły. Wynioskować z tego można, że dzieci uczęszczające do polskiej szkoły mają język bardziej staranny, ma on mniej naleciałości z innych języków. Poza tym media, częste kontakty z Polakami, wyjazdy na obozy i kolonie, sprzyjają głębszemu i prawidłowemu rozwojowi w posługiwaniu się językiem ojczystym. Mamy tu zatem do czynienia z dwoma grupami osób, a też i odpowiednio – wariantami słów, przez nich stosowanych: *gorczyca – musztarda, futbółka – koszulka, kabłuk – obcas, rogałka – proca, czerga – kolejka, cisk – ciśnienie, duchowka – piekarnik, knopka – pinezka, siarka – zapalnik, sportywką – dres, koma – przecinek, maszyna – samochód.*

Trzeba jednak zaznaczyć, że staranny język dzieci można usłyszeć w rozmowach oficjalnych – w szkole, w kościele, z ludźmi z Polski. Natomiast po szkole dzieci wracają do języka rodziny, która nauczyła je mówić po polsku nieco inaczej. Zazwyczaj posługują się językiem niedbałym, często wplatając wyrazy ukraińskie lub rosyjskie, gdy się nie znalazło odpowiednika polskiego. Muszę też z przykrością stwierdzić, że jakkolwiek w szkole dzieciom wiadomości są przekazywane w języku polskim, to w domu jednak muszą korzystać z książek ukraińskich. I wtedy biada uczniowi, który nie nadąża za programem szkolnym, a ortów jest przecież niewiele.

Jednak kultura polska nie zanika. Już od dziesięciu lat istnieje chór, który zbiera piosenki lwowskie, okolicznościowe, i przedstawia je dla przypomnienia, przede wszystkim dla zapoznania się z nimi młodzieży i przekazania ich następnym pokoleniom.

Charakterystyczną cechą wszystkich mieszkańców Mościsk jest nadmierna lub zmniejszona prefiksacja: *nażytyć / napozyczać, przeciwic się, spominać, nazdogać,*

niać, poponadrywać, ponawybierać, poobiecować, doradzać, dosłuchiwać się, dopytywać się, napominać, naprowadzić, obciekać, obmaić, spamiętać – przypomnieć.

Mimo wszelkich starań polszczyzna ta jest wielowarstwowa i przesiąknięta różnymi wpływami. Regionalizmy wykazują mocne zakorzenienie w przeszłości języka polskiego. Zapożyczenia obce funkcjonują na zasadzie obiegowego słownictwa podstawowego, a przenikając w głąb terenu gwarowego, zmieniają znaczenie w węższym lub szerszym zakresie. Fakt ten jest zupełnie zrozu-



▲ Obecna szkoła polska w Mościskach

Budynek dawnych koszar sowieckich, zakupiony na szkołę polską ▼



miały. Skoro ludność polska jest mniejszością narodową, zamieszkującą ziemię, na których język ukraiński, jego tradycje i folklor są bardzo bogate, to nieuniknione jest wzajemne oddziaływanie języków.

W I E R S Z E

**Eugeniusz
Zychowicz**

Śpiew rzeki

Od wrażeń, których natłok wzbudza zawrót głowy
Oddalam się do borów, stepowych bezbrzeży,
Lub rzucam z brzegu kamień w wartki nurt dniestrowy
I słucham odpowiedzi z dna, gdy w nie uderzy.
Cóż czynić nad meandrem i losu i rzeki,
Miast spokoju bezwładem – ogarnięty szalem
Wyobraźni, co nie chce odpocząć wraz z ciałem,
Lecz barwami wypełnia bezsenne powieki.
Jak tłumnie od postaci z wielkich malowideł,
Które słońce zachodu oświeca ukośnie;
Więc łowię w śpiewie rzeki szum husarskich skrzydeł
I patrzę w kamień serca – jak pomnikiem rośnie.

1973 r.

Noc

Wstałem pośrodku nocy: wokół przestrzeń ciemna
I tylko rząd latarni w oddali wyrasta,
Słucham z balkonu ciszy uśpionego miasta
I wchłaniam mgłę przedświtą płynącą znad Niemna.
Kiedy oczom i sercu równie brak błękitu,
W duszę tylko mgieł poszum wejdzie i zostanie;
Więc rzucam w niemą przestrzeń bezgłośnie pytanie:
– Jak długo trzeba jeszcze oczekiwać świtu?

1973 r.

EUGENIUSZ ZYCHOWICZ, ur. 1935 w Krakowie. Lata szkolne spędził w Rymanowie, tamże matura. Studia na wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Krakowskiej. Pracował jako inżynier budownictwa w Krakowie, Bieszczadach i w Rosji. Jest prezesem Koła Stryjan przy TMLiKPW w Krakowie. Jego sentyment do Ziemi Wschodnich wynika z powiązań rodzinnych. Jego ojciec pracował w przemyśle naftowym w Boryslawiu.

Tymon Terlecki

PAPIEROWA MAGIA

Andrzejowi Pomianowi

Gdybym miał zeznać pod przysięgą, co z mego lwowskiego dzieciństwa zapadło we mnie najgłębiej, odpowiedziałbym: książki. Były w tym dzieciństwie, jak w każdym, rzeczy i sprawy rozmaite, miłości i nienawiści, awersje i pasje, wydarzenia przerastające miarę dziecinnej wyobraźni i zgrzyoty, smutki, sypiące się co dzień, dzień po dniu przenikające duszę, jak pył – smutek materialnego świata. Ale tamto wszystko kołuje na dalekim nieboskłonie pamięci gwiezdą mgławicą. Tę jedną sprawę czuję w sobie dotykalnie. Trwa ona we mnie nieprzerwanym ciągiem. Wiąże mnie z utraconą ziemią, z niedosięgalnym niebem.

Tylko małe rzeczy zaczynają się w określonym miejscu. Ważne i ważne zdają się nie mieć początku – giną w mroku albo wynurzają się z nieskończonej jasności. Może dlatego nie umiem powiedzieć, kiedy zaczęła się ta papierowa magia, choć znam łożysko, którym torowała sobie drogę przez mój kraj dziecinny.

Gdy mówię: łożysko, nie jest to wcale przenośnia. Chodzi tu bowiem o ulicę. Ulica Batorego we Lwowie rzeczywiście przypomina wąwóz, głęboki parów, łożo wodne. Zaczyna się od placu Halickiego wąską, po obu stronach równo ściętą gardzielą. Przez kilkadziesiąt metrów bramujące ją spady wyciągają się w linię prostą: z lewej strony sąd, więzienie i III Gimnazjum, z prawej domy przeważnie dosyć wiekowe. Ale im bliżej końca, gdzieś od ślepej bocznicy Bourlarda prostopadłe brzegi gną się i łamią, wreszcie rozwierają się w szeroki rozlew skweru. Jego zielony bluzg spada w dwa wąskie ramiona ulicy Pańskiej i w odnogę ul. Kochanowskiego. Impet jest tak gwałtowny, że jezdnia w tym miejscu wydaje się bielić gęsto ubitą pianą.

Nad tą grą linii i płaszczyzn chwieje się gra światłocienia: u wejścia ul. Batorego leży wieczny półmrok, nad ujściem rozwiera się szerokie, chciałoby się także powiedzieć, wieczne światło. Ta zapewne prosta historia, zdarzająca się w niejednym mieście, ma dla mnie sens duchowy, jedyny na świecie i niepowtarzalny. Wędrówka ulicą Batorego stanowiła w ciągu wielu lat, najmłodszych i najtkliwszych, drogę od ciemności do światła, od pożądania do posiadania, od przeczuć do uświadomień.

Bo ta ulica była, jest i zostanie ulicą książek, ich czarodziejską ojczyzną, schronieniem i wiekuistym przybytkiem. Charles Péguy wierzył, że wszystkie drogie mu rzeczy tego świata: katedry gotyckie, winnice, płaskie drogi Ile de France odnajdzie w raj. Ja pokornie wiem, że gdziekolwiek pamięć moja sięgnie poza granice życia, moja miłość wytyczy tę drogę pełną książek, drogę rosnącą z mroków ku jasności, aby trwała wieki wieczne jak w lwowskim dzieciństwie.

W owym czasie cały prawy brzeg ulicznego wądołu zajmowały antykwarnie, hande starych książek. Ten ciąg okien nie zlewa się we wspomnieniu w bezkształtne zbiegowisko. Pamiętam je, każde z osobna, jak ludzkie twarze.

Zaczynało się to wszystko na granicy mroku od czarnych dziupli, w których siedzieli Bodekowie. Była to rodzina, a raczej klan, może szczerp tak rozrodzony, tak jednolicie czarny i smagły, że aż trudny do ogarnięcia. Jak w fantasmagorii E.T.A. Hoffmanna nie mieli oni określonych granic osobowości, przechodzili, przelewali się jeden w drugiego. Z upływem lat nauczyłem się zgadywać zawartość książek, nigdy nie doszedłem do rozoznania się w niepokojącym istnieniu lwowskich Bodeków. Być może dlatego, że dorastali, starzeli się, umierali

i za długimi wąskimi kontuarami, ciągnący się od okien w głąb sklepów, jedni wstępowali w miejsce innych.

Bodekowie byli podobni do siebie jak liście, ale każda z twarzy okiennych miała swoje odrębne rysy, inaczej mówiła okładkami i tytułami książek. Powyżej Bodeków były tylko książki o literaturze i sztuce: tam kupiłem pamiętną rzecz Porębowicza o Dantem i Kozickiego o Michale Aniele. Na rogu Bourlarda patrzyły przez szybę książki społeczno-polityczne. Sklep Koehlera, leżący na pograniczu cienia i światła, miał w witrynach przeważnie nowe książki, w nieskalanych okładkach, jak w nowych, nakrochmalonych mundurkach. Książki „używane” były tam rzadkie i nosiły karteczki z ceną, co oznaczało, że tutaj nie można się targować.

Z innymi twarzami tak nie było. Twarz okienna zmniejszała się wewnątrz w twarz ludzką. Znałem zawilości, słabe strony i ukryte myśli każdej z nich. Trzeba było, bo między nimi a mną rozgrywał się nieprzerwany dramat. Twarze okienne stanowiły przedmiot pożądania, twarze ludzkie zagrażały drogę ku spełnieniu. Z twarzami okiennymi mówiło się mową spojrzeń, mową aniołów i zakochanych. Z twarzami wewnątrz należało twardo się użerać, obniżając wymienioną cenę do połowy i dokładając do niej małe dodatki. To kluczenie, cała strategia kupowania wymagała trzeźwości w ocenie sytuacji, wytrzymałości nerwów i przenikliwości psychologicznej. Ileż w tym zdarzyło się błędnych obliczeń, przegranych batalii, gorzkich klęsk! Jak oszałamiające były triumfy!

Na najdalszym skraju, już prawie u wylotu ul. Fredry – tam, gdzie łamały się linie brzegów, w wielkiej secesyjnej landarze, między sklepem „modniarki” a sklepem z papierosami, znajdował się niepozorny antykwariat Igla. Na wystawie leżało kilkanaście tyle jak rozrzuconych książek. Za nimi stał pan Igiel – zawsze stał, nie pamiętam, aby kiedykolwiek siedział. Odwrócony bokiem do światła, miał okulary odsunięte na czoło i wodził nosem po książce. Bardzo nie lubił, gdy mu w tym przeszkadzano. Opuszczał wtedy grube i wypukłe szkła na zaczerwienione oczy, mrużył spękane, łuszczące się powieki i odpowiadał z wyżyny pytaniem na pytanie:

– *Po co si pitać... i tak nie kupisz.* W dalszym ciągu znajomości zmieniał drugą część formuły na staromodne: ... *i tak kawaler nie kupisz.*

Ale kupiłem u niego Miriamowskie wydanie Norwida – nie rozcięty egzemplarz na czerpanym papierze, numerowany i sygnowany. Było to szaleństwo, choć popelnione z rozmysłem. Pytałem wiele razy o cenę, wytrzymując zniecierpliwienie ślepowrona, oglądałem ze wszystkich stron, targowałem się na zabój.

Ale ja si ni lubi handryczyć – mówił antykwariusz, chwiejąc wysoko siwą głową i nie wypuszczając z rąk książki, którą czytał i chciał spokojnie czytać dalej.

Dopiero po wielu latach dowiedziałem się, że stary Igiel był znakomitym bibliopola i miał do czynienia nie z ubogim szczeniactwem, przedwcześnie zatrutym książkomanią, ale z co najbogatszymi zbieraczami i znawcami.

Jeszcze dziwniejszym okazem był pan Tuleja. Jego antykwariat gnieździł się obok tylnego wejścia do pasażu Mikolascha w malutkiej uliczce, która wydawała się odpryskiem ulicy Batorego. Książki nie stały tutaj w rzędach, ale stożyły się jedne na drugich, ciągnęły się zatorami jak kra w niezgruntowaną głąb kantoru. Pan Tuleja nosił zimą i latem tabaczkowy paltot, szalik bordo, a także kapelusz. Bodaj nie lubił sprzedawać swoich książek, lubił za to rozmawiać. Chętnie wyciągał mnie na spytki, ale nie przypominam sobie, abym u niego cokolwiek kupił. Być może powziął nieuleczalne powątpiewanie co do mojej zdolności, zwanej przez uczonych ekonomistów „siłą nabywczą”. A może był w wyższym jeszcze stopniu niż ja opętany namiętnością posiadania.

Znacznie później, niedługo przed opuszczeniem Lwowa, odkryłem składy drukowanej starzyny w okolicach Rynku. Stało się to – wstyd powiedzieć – za sprawą warszawianina, Stefana Napierskiego. Zbierał on ze znanstwem polskie druki z XIX wieku: zapomnianych poetów, niedocenione pamiętniki, przekłady, o których pamięć dawno przepadła. Utrzymywał, że nigdzie w Warszawie jego połowy nie były tak niespodziewane i bogate, jak w staroświeckiej, biało bielonej antykwarni jeszcze jednego Bodeka.

Drugi krąg papierowej magii stanowiły księgarnie. Może najwcześniej poznałem księgarnię Gubrynowicza, lecz dopiero dziś potrafię określić jej urok. Był to urok mieszczkańskiej osiadłości i zasobności, domowego, pachnącego ciepła. Sufity nachylały się tu nisko, pokoje były niezbyt wielkie. Ciągnęły się cienistą amfiladą wzdłuż wąskiej uliczki, łączącej przystanek kawiarni „Wiedeńskiej” z placem Katedralnym. Na ten plac wychodziło tylko jedno okno duże, drugie mniejsze i drzwi, a cała reszta, może sześć kwadratowych witrzyn, ciągnęła się w głąb ciastnego kanionu. Tramwaje zgrzytały w nim bez przerwy, śpiewały przeciągle na szynach i dzwoniły dzwoneczkami, w które uderzało się podeszwą. Trzeba było dziecinnego zapamiętania, aby w rwącym strumieniu dźwięków czytać godzinami tytuły wystawionych książek i pożądać ich całą wrażliwością serca.

Zupełnie inna aura panowała u Altenberga na placu Mariackim. Ta księgarnia była wysoka, na wysokości półpiętra okalała ją drewniana galerijka, biegnąca w koło. Wyniosła nawa miała coś ze świeckiego kościoła, ze świątyni rozumu i wiedzy, o której marzył lord Bacon. Promieniowanie kaloryferów wypełniało ją innym ciepłem, sztucznym i egzotycznie suchym. Ciemne boazerie bramowały grzbiety książek, jak obrazy. Można tu było przystawać przed półkami, nachylać się ku stołom ile się chciało. Tym większa była moja gorycz, gdy któregoś roku cały sklep opróżniono, na szyldzie zjawilo się nazwisko: Berta Stark, i po książkach objęły panowanie damskie trykotaże. Wydawało mi

się to wtedy profanacją świętego miejsca. Omijałem je z daleka.

Trwała pośród tych zmiennych losów księgarnia Połanieckich, przy ul. Akademickiej, ale świeciła wczorajszymi ambicjami i szczyliła się przebrzmiewającą sławą. Można było w niej wyłowić pierwodruki Staffowskie, nigdy powtórnie nie wydane książki Brzozowskiego i tomy „Sympozjonu” redagowanego przez Staffa pod opiekuńczym okiem Ostapa Ortwina, kiedy obaj byli młodzi.



Inne księgarnie na ul. Akademickiej i na ul. Kopernika mniej mnie pociągały, bo na ich wystawach polskie książki gęsto mieszały się z tytułami obcojęzycznymi, a na obcość przyszedł czas dopiero później. Były jednak jeszcze dwa miejsca, które ciągnęły z nieodpartą siłą. Jedno z nich, skład Książnicy-Atlasu, leżało *in partibus infidelium*, prawie u wjazdu na ul. Łyczakowską: biegaliśmy tam z Henrykiem Bolko-tem, czułym przyjacielem, pierwszym i niezastąpionym, aby oglądać i kupować numery „Iskier”. Drugie z tych

miejsz, księgarnia Zakładu Narodowego im. Ossolińskich na pl. Halickim, świeciła jasno, ale krótko już nad progiem lat młodzieńczych.

Miałem tam znajomego sprzedawcę, doradcę i kusiciela, Leporella tej papierowej rozpusty. Nazywał się bardzo stosownie – pan Szatan. W zgodzie ze swoim imieniem był czarny, przystojny, elegancki, jak model z żurnalu. Nieoczekiwanie, za któregoś mojego pobytu w Zakopanem, usłużny pan Szatan spadł z nieba do piekieł: magazyn z kryształowymi szybami odstąpiono na konfekcję, a skład główny

wydawnictw Ossolińskich przeniesiono do małych klitek na ul. Ossolińskich. Dobry duch zmalął przy tej okazji i stracił coś z lucyferycznej wspaniałości. Ale uśmiechał się zawsze, ilekroć z dalekich szlaków wracałem do Lwowa i zachodziłem, aby go zobaczyć, pozdrowić w nim pokuszenia i urzeczyśnienia dzieciństwa.

Zjeździłem, chcąc nie chcąc, trochę światła i kupiłem dużo książek. W Paryżu spędzałem długie godziny nocy nad stołami księgarni Giberta na boulevard St. Michel i długie godziny dnia u bukinistów, na lewym brzegu Sekwany. U jednego z nich, naprzeciwko rue du Chat qui peche, nabyłem pierwsze tomy Prousta, prawie z takim ściśnieniem gardła, jak kiedyś u pana Iglą pisma zebrane Norwida. Wiem, gdzie sprzedają książki w Brukseli, we Florencji i w Rzymie. Po londyńskim Charing Cross chodzę teraz jak po cmentarzu i żałuję książek: skarżą się one na ciemność, cierpią boleśnie od wilgotnych dotknięć mgły. Lecz mówiąc prawdę, od czasu Lwowa już nigdy nie zaznałem i nie zaznam takiego współżycia książek z człowiekiem i takiej palącej ich bliskości.

Nie wyzwoliłem się ciągle z papierowej magii, choć ze skarbów zazdrośnie gromadzonych nie zostało nic: ani jedna karta. Pochłonał je wir cyklonu, trawi je lub wyrzuca na jakieś niewiadome brzegi jak trupy. Znowu obrastam w książki. Jest to posiadanie cierpkie i niepodobne do dawnego. Opadło już dziecinne złudzenie, że można przeczytać wszystkie książki, zwiedzić wszystkie kraje, zgruntować wszystkie głębie. W bibliotece Baworowskich, w klasztornych salach Ossolineum, w czytelni lwowskiej biblioteki uniwersyteckiej nie doznałem żadnej wątpliwości. Dopiero pod czaszką olbrzyma w paryskiej Bibliotheque Nationale spadło na mnie mrozące rozpoznanie, że pustynia książek jest nieobeszła jak pustynia świata. Nie można jej przebrnąć i nie można jej ogarnąć.

Dziś wiem, że nie przeczytam, nie posiadam wszystkich książek, że posiadane utracę znowu. I wiem także: mogą one przepaść, ale czyste wersety z nich wyjęte, ich Lwowa natchnione słowa zostaną, aby spowić tęsknotę na dnie serca, aby tęsknocie, jeśli zechce mówić, dać język cudownych

zaklęć, zdolnych ocalić miejsca, czasy i rzeczy na całe życie i może – na całą wieczność.

POSŁOWIE

Na współczesnych mapach Polski nie ma już starego *Semper Fidelis* Lwowa, miasta pięknego, o bogatej, europejskiej kulturze, nauce i sztuce. W obcym teraz i odległym Lwowie nie ma też ulicy Stefana Batorego. Z panoramy tej ulicy znikły – już na zawsze – głębokie, półmroczne, pachnące starymi książkami i cieszące się zasłużoną sławą antykwariaty Bodeków, Koehlera oraz starego, dostojnego Zygmunta Iglą.

Nie ma już we Lwowie zawsze przyjaznych każdemu klientowi „handłów” zarówno używanymi książkami, jak i budzącymi nie mniejsze zainteresowanie szperaczy, rocznikami pożółkłych gazet oraz wszelką papierową „makulaturą”. Nie ma Hoelzlów, Grundów, „jeszcze jednego Bodeka”, trochę dziwaka Tulei, ani też antykwariusza, ale też znakomitego znawcy księgarstwa, zawsze niezmiernie życzliwego bibliofilom Aleksandra Krawczyńskiego.

Po nich wszystkich, wyżej wspomnianych, ale również po licznych lwowskich księgarniach i znanych w całym kraju wydawnictwach, pozostały już tylko wzruszające wspomnienia i głęboki żal.

Autor tych sentymentalnych wspomnień o lwowskich antykwariuszach i księgarniach – Tymon Terlecki, znakomity pisarz, eseista, niestrudzony organizator polskiego życia naukowego na Zachodzie, profesor literatury polskiej na Uniwersytecie w Chicago – urodził się w 1905 r. w Przemysłu – dawne województwo lwowskie. Był wychowankiem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Zmarł w 2000 r. w Chicago.

Janina i Roman Chrząstowscy

Państwo J. i R. Chrząstowscy wydali powyższe wspomnienie Tymona Terleckiego w formie pieczętowanej przygotowanej broszurki (Katowice–Warszawa 2000), w 44 egzemplarzach, przeznaczonych dla Swych Przyjaciół. Jedną z nich otrzymał p. prof. Jerzy Kowalczyk, który za przyzwoleniem p. Romana Chrząstowskiego przekazał ją nam do wykorzystania w „Cracovia-Leopolis”. Na koniec i my dostaliśmy taki egzemplarz od Pana Romana. Serdecznie dziękujemy w imieniu Czytelników i Redakcji.

Naszym zdaniem

PANI HERBERTOWA

W dwa lata po śmierci Poety wdowa dała się wciągnąć w ubliżającą pamięci Zbigniewa Herberta rozmowę z dziennikarzem „Gazety Wyborczej” – a tekst tego wywiadu-rzeki podano do wiadomości n a r o d u w jednym z numerów owej gazety z końcem grudnia.

Z rozmowy zrozumieliśmy, że jest w Polsce dwóch mądrych i jedyne słusznych obywateli, pan Czesław i pan Adam, a z drugiej strony nierówny, nierozważny i politowania godny nerwus – Herbert (choć dziennikarz sypie jak z rękawa komplementami pod jego adresem – taki elegancko obiektywny). Pani Herbertowa zamiast dać odprawę prowokacyjnym podchodom, usiłuje po babsku swego męża tłumaczyć, usprawiedliwiać, jakby był dzieckiem, a nie prawdziwie wielkim Człowiekiem. To żenujące.

Nie trzeba być szczególnie wnikliwym, by rozpoznać intencje dziennikarza. Po lekturze rozmowy zaczyna się rysować jakby potwierdzenie podejrzeń żywionych przez wielu ludzi w Polsce (i nie tylko – patrz CL 3/2000, s. 45), gdzie szukać tych, którym Herbert zawdzięcza nieprzyznanie mu nagrody Nobla.

Pan dziennikarz wykonał zamówioną robotę, natomiast nadziwić się nie można braku taktu i rozsądku ze strony Katarzyny Herbertowej. A przecież *noblesse oblige*, proszę Pani. Warto przy tym pamiętać, że

Pani *noblesse* w o wiele większym stopniu niż z urodzenia, wynika z małżeństwa ze Zbigniewem Herbertem.

Doskonały artykuł, napisany przez Marcina Dominika Zdorta na ten sam temat ukazał się w „Rzeczpospolitej nr 5/01. Pozwalamy go sobie poniżej przedrukować.

Z końcem stycznia pokazano w telewizji film dokumentalny o Herbercie pt. *Obywatel Poeta* w reżyserii Jerzego Zalewskiego. Film ten, choć dość kontrowersyjny w swoim scenariuszu i formie, wyjaśnia jednak godne stanowisko Poety w sprawach dla Polski najważniejszych, co musiało go poróżnić z ludźmi na te sprawy raczej obojętnymi. Nawet „Gazeta Wyborcza” (z 29 I 01) musiała przyznać (piórem T. Sobolewskiego):

... *Jednak dobrze, że telewizja ten film pokazała. Inaczej się go ogląda po wywiadzie Katarzyny Herbertowej. Ostrzej widać manipulację, jakiej poddano postać poety. Polityczne spory o Herberta zabrnięty w ślepią uliczkę – ten film jest najlepszym tego dowodem – ale sam poeta wychodzi z tych sporów oczyszczony, nie przywłaszczony przez nikogo.*

Na film rzucili się oczywiście panowie z „Tygodnika Powszechnego”, reprezentujący 4-procentową siłę (wszyscy mówią o Herbercie Zbyszek), którzy w niezwykle perfidny sposób – chórem go wychwalając – starają się Poetę poniżyć, pomniejszyć jego znaczenie (wypisują nawet litanie nazwisk nie gorszych od niego, a jakże), wyciągają kolejne słabości fizyczne i psychiczne. Wszystko to robi się w dwa lata po śmierci Zbigniewa Herberta – w jakim celu? Niech sobie każdy sam dośpiewa.

WALKA O PAMIĘĆ POETY

Moje zażenowanie wzbudziła rozmowa z Katarzyną Herbertową, którą opublikowała tydzień temu „Gazeta Wyborcza”. Co zrobić ze zmarłym wielkim pisarzem, który nie potrafił zaakceptować kompromisów politycznych zawartych przez swoich dawnych przyjaciół? „Trzeba poprostować, powyjaśnić”, „teraz ja próbuję coś jeszcze dosztukować” – mówi pani Herbertowa.

Żona poety udzieliła wywiadu pismu, które – z przyczyn czysto politycznych – w ostatnich latach robiło wiele, aby obalić mit jej męża. Samo demitologizowanie Herberta nie musi niepokoić, każdy wszak jest człowiekiem. Przeraża jednak sposób, w jaki żona poety usilnie stara się wytłumaczyć zmarłego przed „Gazetą Wyborczą”. Pani Herbertowa zachowuje się jakby chciała się wkupić w łaski tego środowiska, niepytana obsesyjnie wraca do opowiadania o dawnej sympatii między jej zmarłym mężem a Adamem Michnikiem, natomiast późniejszy konflikt przypisuje jedynie nasilającej się depresji poety. – Nieraz zachowywał się zupełnie inaczej, niż sam by sobie życzył – twierdzi Katarzyna Herbertowa.

Bezkompromisowa postawa Zbigniewa Herberta oraz głoszenie wartości bliskich prawicy to objawy szaleństwa, choroby psychicznej – zdaje się mówić wdowa, jakby nawiązując do pomysłów sowieckich komunistów, którzy osoby o innych niż swoje przekonaniach zwykli byli zamykać w szpitalach.

Na szczęście poglądów Herberta nie udało się „poprawić i poprostować”, a „dosztukowanie” zabrzmiało fałszywie. Może wdowie nie starczyło daru przekonywania, a może przesłanie poety było po prostu zbyt jednoznaczne.

Marcin Dominik Zdort



Otwarcie wystawy grafiki Heleny Jacyno.
Od lewej: konsul Sieradzki, dyrektor galerii,
Helena Jacyno, wicemin. Żurowski, Teresa Pakosz.



Koncert „Organum” w kościele św. Marii Magdaleny



Otwarcie Festiwalu w Teatrze Wielkim

4–5 listopada 2000 we Lwowie (patrz s. 48)

FOTOREPORTAŻ



O.plk. Adam Studziński
i prof. Bogusław Grzybek



Chór „Organum” w czasie akademii w Kapitularku dominikańskim



Harczerze na Mszy św. za Orłyta

22 listopada 2000 w Krakowie (patrz s. 46)

Adam Trojanowski

REFLEKSJA NA SZEŚĆDZIESIĘCIOLECIE (3)

(ciąg dalszy z CL S/2000 i 4/2000)

W miejsce kolegów, których brakło w pierwszym roku sowieckiej szkoły, przybyło kilku nowych, z którymi się szybko zaprzyjaźnił. Niedaleko za mną siedziało dwóch byłych kadetów, a to Jurek Horwath oraz Henek Nieckuła, obaj z I Korpusu Kadetów im. J. Piłsudskiego we Lwowie. Jurek był mi dobrze znany już ze szkoły powszechnej, Henek zaś był dla mnie zupełnie nowy, ale od razu został zaakceptowany przez otoczenie. Jurek nosił swój dawny płaszcz kadecki, jednak nie spięty regulaminowo w pasie, lecz puszczone luzno, tak jak by ujawniał w ten sposób, że dawny regulamin już niestety nie obowiązuje. Tymczasem wewnątrz Jurek pozostał mu wierny aż do końca swego krótkiego życia, kiedy to w 1944 r. zginął w partyzantce pod kulami NKWD.

Wraz z mym przyjacielem, też już nieżyjącym Jasiem Wiktorem – synem wykładowcy Szkoły Przemysłu Artystycznego przy Szkole Przemysłowej, zwanej też Techniczną – zająłem, tak jak i przedtem, miejsce w pierwszej ławce trzeciego rzędu, a więc blisko okien. [...] W pierwszej ławce, ale pierwszego rzędu zasiedli dwaj klasowi geniusze, a to Marceli Funkenstein oraz Dyzio Mandel. Oni wiedzieli zawsze wszystko i umieli odpowiedzieć na najtrudniejsze pytania z każdej dziedziny. Był to wynik zarówno wrodzonych zdolności, jak i stałej, systematycznej pracy, do której skłaniali ich rodzice. Żydowska proweniencja mogła czynić utrudnienia w przyszłym ich zawodowym życiu, przeto roztropność i zapobiegliwość rodzinną nakazywała uzyskiwanie najwyższych osiągnięć w nauce. I to im się udawało! Obaj cieszyli się naszą ogólną sympatią jako koledzy do nauki i zabawy. Nigdy nie było żadnych problemów z tytułu ich żydowskiego pochodzenia, nawet potem, na początku niemieckiej okupacji, zanim wyłączono ich z naszej obywatelskiej wspólnoty.

Spośród innych kolegów należy wymienić Staszka Przybyłowskiego, któremu

zawsze zazdrościliśmy, że mieszkając na przeciw gimnazjum mógł przychodzić na lekcje w obowiązkowych pantoflach oraz bez płaszcza, bez konieczności korzystania z szatni zlokalizowanej w piwnicy. Tercjań, groźny pan Gulewicz, nie wpuszczał nikogo, kto pantofli nie posiadał i, aby wziąć udział w lekcjach, uczeń był zmuszony wystąpić w skarpetkach. Można sobie wyobrazić jakie było to upokorzenie, ale trudno.

Innym niezapomnianym kolegą był Stefan Otto, zwany „Szczepciem”, który swym *bałakiem* doprowadzał do osłupienia najbardziej rodowitego lwowiaka. Można sobie tylko wyobrazić, jak w takim wydaniu brzmiał w szkole język Goethego – przy tym akcencie i tej wymowie! Obydwaj koledzy zginęli w partyzantce, i to bodajże podczas tej samej akcji.

Najbardziej byłem jednak związany z Jasiem Wiktorem i po południu zaglądałem prawie codziennie do jego domu, gdzie byłem zawsze serdecznie przyjmowany przez jego rodziców oraz trzy ciotki, wspólnie zamieszkujących willę przy ul. 22 Stycznia, na małym wzgórku, tak że wchodziło się do niej po kilkunastu schodkach. Wspomniane ciotki, nie mając własnych dzieci widziały w Jasiu – jak się to mówi – Pana Boga, i część tego ich podziwu przechodziła automatycznie na mnie, jako na jego przyjaciela.

Szukając byle jakiego dochodu zatrudniłem się podczas wakacji w przedsiębiorstwie *Remontna Kontora* jako pomocnik murarski. Było to jeszcze przed aresztowaniem ojca, ale przez jakiś czas mało się z nim widywałem. Zanim wrócił z nocowania poza domem, ja już byłem w pracy. Chodziłem do niej w okolice Teatru Wielkiego, gdzie remontowano stary dom żydowski. Zajęciem moim było wynoszenie w wiadrze gruzu, co nie było dla mnie lekkim zajęciem. Za tak prymitywną pracę otrzymywałem marne wynagrodzenie, ale zawsze trochę grosza do domu przynosiłem.

Po aresztowaniu ojca poszedłem do pracy razem z Jasiem Wiktorem – na dawnej, rozpoczętej jeszcze przed wojną budowie kościoła św. Wincentego a Paulo na przeciw Szkoły Przemysłowej. Teraz, w bolszewickich czasach, urządzono tam bazę warzywno-owocową, a naszym zajęciem było plantowanie ziemi. Do pracy brałem jakieś pożywienie, a ponieważ nadal były kłopoty z chlebem, przynosiłem garnuszek wypelniony nieskomplikowaną strawą, którą po podgrzaniu konsumowałem w domu Jasia.

W sąsiednim domu mieszkał wtedy nasz profesor E. Turkiewicz, potem ulokował się tam obecny kustosz Muzeum Czartoryskich w Krakowie prof. Zdzisław Żygulski jr, a także uciekinierzy. Na marginesie trzeba wyjaśnić, że uciekinierów z zachodniej Polski, czyli po rosyjsku *bieżenców*, było wówczas we Lwowie bardzo dużo. Część tych nieszczęsnych ludzi jeszcze jesienią 1939 r. powróciła przez *zieloną granicę* do Guberni, część pozostała we Lwowie i usiłowała wrócić do swych rodzin poprzez Komisję Repatriacyjną. Z tych część została wywieziona na dalekie tereny ZSRR, jako element niepewny politycznie i społecznie szkodliwy. [...]

W nowym roku szkolnym 1940/41 przybyły nam jeszcze dwa dodatkowe, typowo sowieckie przedmioty, a to: *darwinizm* oraz zajęcia wojskowe, czyli *wojennaja podgotowka*. Na pierwszym tłukliśmy teorię badacza z wysp Galapagos, ale na dodatek doszli jeszcze Mendel, Miczurin oraz Łysenko, którego poglądy nie były traktowane jako teoria, lecz prawda objawiona przez Partię. Na zajęciach wojskowych uczyliśmy się UWS, czyli *Ustaw Wojennej Służby*, a więc regulaminów wojskowych. Ponadto musieliśmy rozebrać na kawałki i złożyć kompletnie karabin typu 1894/32 (nie jestem tych cyfr już pewien) oraz umieć każdą część nazwać po rosyjsku. Ponadto nauczono nas obchodzenia się z granatem typu F-1. Byliśmy w ten sposób przewidziani do działań partyzanckich, jakie były prowadzone podczas wojny przez naszych rówieśników na terenach zajętych przez Niemców.

Załamującymi przeżyciami były dla nas wszystkie sowieckie uroczystości, w których musieliśmy brać udział. W rachubę wchodziły nie tylko okropne mityngi, pełne

kłamstw i głupoty. Jeszcze gorsze były manifestacje, podczas których musieliśmy nosić przerażające feretrony z gwiazdami, hasłami, portretami Lenina, Stalina i innych dostojników reżimowych. Było to tak strasznie przeciwne naszym przekonaniom i wstydziliśmy się jeden przed drugim, gdy nas tym paskudztwem obarczano. Te komunistyczne relikwie nauczyliśmy się podrzucać w bramach i za płotami podczas przemarszu przez miasto. Później jednak znaleźniono na to sposób i ściśle rozrachowanie nas z wręczonych emblematów bolszewizmu. Warto wspomnieć – jako że życie jest pełne paradoksów – iż te obrzydliwe portrety sowieckich prominentów stanowiły dobry, często jedyny dochód artystów-malarzy, tych nie najwyższej klasy oczywiście. Młodzież portretami pogardała, starsi zaś je produkowali. A między nimi występowało bolszewickie hasło: *byt określa świadomość*. Co za upokorzenie dla jednych i drugich!

Sytuacja zaopatrzeniowa była w 1940 r. nadal fatalna. Nie było ani jedzenia, ani



Sowiecki plakat propagandowy z 1939 r.

odzieży, ani butów. Rzekomo było tak równie w Kijowie, oprócz Moskwy, gdzie ponoć było wszystkiego w bród. Byliśmy niedożywieni oraz w coraz okropniejszych ubraniach i płaszczach, przedwojennego naturalnie pochodzenia.

Rok 1941 przyniósł w tej dziedzinie wyraźne zmiany. Im było bliżej wiosny, tym więcej zaczęło się pojawiać towaru, przedtem zupełnie deficytowego. Zaczęły się pokazywać nawet takie towary jak słodycze w postaci cukierków i czekoladek, a także różnych wypieków, sprzedawanych w *Chlibo-Bułocznej* przy ul. Akademickiej – dawnym sklepie Wacława Kuchara z artykułami sportowymi. Pojawiły się jakieś ubrania i buty, bardzo zgrzebne, ale jednak.

Pokazały się ponadto sówki, jak przeróżne alkohole, w tym *Sowieckoje Szampanskoje*, papierosy, kawa, herbata, nie mówiąc o najzwyczajszej wódce. Szczególnie bogaty asortyment wszelkich towarów zapamiętałem w związku ze świętem 1 Maja. Mimo wyraźnej zmiany, rzeczywistość polityczna pozostała bez zmian. Do Lwowa przybyło jeszcze więcej tzw. *ludzi radzieckich*, którzy swym wyglądem i zachowaniem bardzo odstawali od ludności rodzimej.

Lwów wypełnił się jeszcze większą ilością wojskowych. Wszystkie byłe koszary polskie zostały zajęte przez poszczególne oddziały rodzajów broni. Duża część komandirów – bo oficerów wtedy jeszcze w Czerwonej Armii nie było – mieszkała prywatnie lub samodzielnie, w zajętych siłą kwaterach. Nie wiem dlaczego, ale całe to towarzystwo ćwiczyło od najelementarniejszych ruchów i czynności począwszy, także na ulicach i placach oraz w Parku Stryjskim. Na śmiech się zbierało, gdy się obserwowało tych prymitywnych ludzi, często skośnookich, o żółtej cerze, upstrzonej bywało typowymi, azjatyckimi dziobami, którzy nie byli w stanie pojąć, że *lewa noga – prawa ręka* itp. Umundurowanie mieli jeszcze zimą '40 r. bardzo kiepskie, buty były prawie z reguły nieoczyszczone i w fatalnym stanie. Zamiast płaszczy nosili najzwyczajsze *kufajki*, a na głowie obrzydliwe *budionki*, symbol bolszewizmu jeszcze z czasów Rewolucji. Tylko dół butów był wykonany ze skóry, natomiast cholewka była z jakiegoś impregnowanego płótna. Wtedy noszono jeszcze granatowe spodnie do zielonych *rubaszek*, a płaszcz,

jeśli występowały, były z reguły nieobrubione i postrzępione. Na Persenkówce, na tyłach Targów Wschodnich, urządzono olbrzymi plac, na którym ustawiono setki samochodów ciężarowych marek ZIS-5 oraz GAZ-AA. Była to techniczna starzyzna, ale jednak poruszały się i swoją rolę jako spełniały. Stały na kołkach, tak że koła znajdowały się w powietrzu. Chyba chodziło o to, by opon nie obciążać niepotrzebnie. Każda z nich była ponadto pomalowana wapnem na biały kolor, co z kolei miało prawdopodobnie chronić przed działaniem słońca. Bardzo raziły nas olbrzymie litery oraz cyfry wypisane białą farbą na burtach, w charakterze numerów rejestracyjnych. Drugi plac był zastawiony bardzo dużą ilością równiutko ustawionych czołgów typu T-26, które swą ilością oraz wyglądem czyniły na nas wrażenie, aczkolwiek mówiło się, że jakość tego sprzętu była bardzo kiepska.

W pierwszych miesiącach 1941 r. została przeprowadzona prawdopodobnie jakaś reforma wojskowa, rzekomo w wyniku krytycznej oceny kampanii fińskiej. Fakt faktem, że zarówno żołnierze, jak i komandirzy otrzymali nowe, solidne mundury, a także czapki uszatki, które zastąpiły prawie w zupełności wspomniane budionki. Zaskakujące były przeróżne elementy skórzane, jak pasy, koalicjyki, mapniki itp. Były nowiuśkie i bardzo zadbane. Nie spotykano już wtedy pasów parcianych. Wydaje mi się, że w tym okresie zaczęło się obowiązkowe salutowanie zwierzchników. Szczególnie zadbani byli i zachowywali się należycie młodzi komandirzy, którzy nosili nawet coś w rodzaju białego żabotu, który przepisowo wystawał ileś tam milimetrów ponad stojący kołnierz rubaszki. To było już zupełne novum.

Zarówno w zimie, jak i potem, już wiosną, uwijały się nad miastem ćwiczące samoloty myśliwskie I-16 oraz I-153. Potem pojawiły się latające wyżej i nie bardzo dobrze widoczne najnowocześniejsze samoloty, chyba typu JAK oraz IŁ-2. Znikły zupełnie nieruchawe TB-2, zwane przez nas „latającymi trumnami”, które we wrześniu '39 pełniły stałą służbę transportową ze wschodniej Ukrainy do Lwowa.

Albo przywyczailiśmy się już nieco do nowej rzeczywistości, albo te ewidentne



zmiany tak zadziały psychicznie, że nastrój w mieście, a także i w szkole stał się nieco lepszy. Od nowego roku szkolnego przyszli następni nowi koledzy, w tym tak miły „Toni”, czyli Antoni Dorozik. Ponadto pojawiły się dziewczęta, przeniesione z innych lwowskich szkół, jako że szkoła średnia typu sowieckiego była koedukacyjna. Przyszła m.in. Maria Feczko, Eulalia Schaffer, Stopczyńska oraz Komenda, a także drobniutka Żydówka o nieznanym mi już nazwisku. Zwana była „Szpileczką” nie tylko ze względu na wzrost, ale przede wszystkim z powodu ciętego języka w prowadzonej ze mną w gazetce szkolnej dyskusji na temat roli kobiet w nowoczesnym społeczeństwie. Miała ona oczywiście na myśli społeczeństwo sowieckie, przeto ruszyłem do boju i ta pisana dyskusja trwała jakiś czas ku wielkiej radości reszty klasy.

Zajęcia z tzw. *fizkultury*, czyli gimnastyki, prowadził z nami młody człowiek nazwiskiem Jamioł lub Jemioł. Ze względu na swój wiek oraz naturę łatwo uzyskał z nami dobry kontakt, tym bardziej że po południu prowadził zajęcia nadobowiązkowe z tzw. przyrządówki. Były to ćwiczenia na kółkach, na reku oraz na innych jeszcze przyrządach, wymagających sporej siły i wytrwałości w trenowaniu. Kilku moich bliskich kolegów intensywnie ćwiczyło, ja natomiast przychodziłem na te zajęcia dla towarzystwa. Zwyczajem stało się, że po ćwiczeniach pan Jamioł szedł z nami na ulicę Akademicką i tam uprawialiśmy jakąś marną namiastkę przedwojennego *corso**. Była to dla nas nie byle jaka przyjemność oraz zaszczyt chodzić ze swym nauczycielem „za pan brat”,

tym bardziej że częstował nas papierosami, a to miało z nas czynić ludzi już całkowicie dorosłych. Dziwny nieco był ten układ, ale widać było, że panu Jamiołowi on odpowiada, nie mówiąc o nas, dalece usatysfakcjonowanych. Zjawisko to wносиło jakieś odprężenie od szarzyzny codziennej, przeżywanej w domu i szkole.

Potem doszły jeszcze różne romanse z koleżankami, a te, wiadomo, zmieniają ostrość i barwę widzenia. Po jakimś czasie zaczęliśmy się kręcić, właściwie bez celu, po Parku Stryjskim i uprawiać mniej lub bardziej ostre walki grup młodzieżowych. Chyba chodziło właśnie o te dziewczyny. Nigdy nie osiągnęliśmy jednak takich sukcesów, jakie uzyskała tzw. banda Rudego Dżima, zachowująca się w parku bardzo głośno, władczo i fizycznie przekonywująco. Jak widać, mimo ciężkich czasów budziła się młodzieńcza fantazja i świat nieco poróżowił.

Dużą przyjemnością była możliwość odwiedzenia Polskiego Teatru Dramatycznego przy ul. Jagiellońskiej, gdzie rej wodził Władysław Krasnowiecki. Zobaczyłem tam już kilka pięknych spektakli, które nasz smutny ówczesny los łagodziły polskim słowem, dobrym tekstem i europejską kulturą. Sowieckie instancje partyjne wiedziały, jak można Polaków ułagodzić, a niektórych nawet *kupić*. Z takich cieplejszych powieści kultury muszę wspomnieć wiersz, jaki znajdował się w naszej, sowieckiej wprawdzie, wydanej w Kijowie, książce do języka niemieckiego. Była ona przepełniona komunistyczną propagandą w rodzaju: *Anna Pauker, eine junge rumanische Lehrerin*** itd. w podobnym stylu, jednak wspomniany wiersz tak bardzo odstawał od reszty tekstów, że dziw brał, iż się tam wogóle znalazł. Był to chyba utwór Rilkego, a brzmiał: *Es war ein Tag wie die Tagen alle, die herbstlich wolken. Ture gingen zu, und dann kamst Du...**** Tyle mi zostało w pamięci po prawie sześćdziesięciu latach, ale na pewno nie bez powodu. W wierszu tym czuło się ciepło, dobre, ludzkie uczucia, których byliśmy systematycznie pozbawiani na rzecz radzieckiej ojczyzny, *gdie tak wolno dyszyt człowiek*.

Prawie do wszystkich przedmiotów dostaliśmy podręczniki w języku polskim, drukowane w Kijowie, przy czym te do wiedzy

ściślej były neutralne, natomiast np. literatura polska była wypełniona tylko takimi tekstami, które krytykowały szlachtę, kościół, a gloryfikowały *Gromadę Grudziąż* oraz innych lewicujących dość skrajnie autorów. Nic w tym dziwnego, zaskoczyło mnie tylko to, że takowe książki jeszcze w ogóle się zachowały po zlikwidowaniu Autonomicznego Okręgu Polskiego ze stolicą w Marchlewsku na Ukrainie. Chyba, że były to wznowienia.

Coraz powracam myślami do swych ówczesnych kolegów z rodzimej i równoległej, tzw francuskiej, klasy. Dobrze wspominał Jurka Pluttera oraz Wojtko Bińkowskiego. Byli to harcerze, a równocześnie nierozłączni koledzy. Z grupą innych harcerzy pełnili we wrześniu '39 służbę wartowniczą przy jakichś obiektach wojskowych. Obaj już nie żyją. Nie żyje także Adaś Baron, za którym wstawiałem się często barwnymi przemówieniami do księdza katechety F. Kmity. Podczas wojny znalazł się w partyzantce, chyba AL, potem bowiem został adiutantem późniejszego marszałka Roli-Żymierskiego. Spotkałem go zaraz po wojnie w Krakowie, gdzie występował w bardzo eleganckim mundurze oficerskim, bodajże w randze porucznika. Ojciec jego był przedwojennym oficerem. Po wojnie Adaś znalazł się we Wrocławiu i tam był znanym ginekologiem, a także aktywnym członkiem stowarzyszenia lwowiaków. Czytałem jego lwowską poezję, pisaną nb. po wojnie. Była zupełnie dobra i oddawała jego serdeczną więź z naszym miastem.

Jeśli chodzi o harcerstwo, to przy VIII Gimnazjum działała I Lwowska Drużyna Harcerska, założona chyba w 1910 r. przez A. Małkowskiego. Za moich czasów należało do niej wielu kolegów. Ci starsi to byli zastępowi, przybocznicy w stopniach ćwika lub harcerza orlego, drużynowym zaś był dużo od nas starszy, Harcerz RP nazwiskiem Brylak. Drużyna była w kontakcie z jakimś bardzo starym panem, zamieszkałym w Brwinowie pod Warszawą, weteranem harcerskim z naszej drużyny. Naszej, bo i ja do niej przez jakiś czas należałem, w zastępstwie przemitego, nieco starszego kolegi nazwiskiem Krzyworączka. Był pełen fantazji i wspaniałych pomysłów, czyniących

(ciąg dalszy na s. 60)

Konrad Sura

PAŃSTWOWA TECHNICZNA SZKOŁA ZAWODOWA WE LWOWIE

Autor napisał poniższy artykuł w nawiązaniu do listu dra J. Masióra (CL 2/2000), ale drugim powodem publikacji tego tekstu w niniejszym numerze są wspomnienia A. Trojanowskiego, który w trzech odcinkach parokrotnie o tej szkole i jej dyrektorze napomyka.

List dr. Jerzego Masióra prosi się o kilka uzupełnień, które przedstawiłyby dokładniej rolę tej szkoły w okresie okupacji niemieckiej. Redakcja CL, kończąc notatkę, zapytała: *Gdzie są chłopcy z tamtych lat?*

Otóż ja jestem jednym z nich i pragnę opowiedzieć, ile ta szkoła znaczyła dla młodzieży w sytuacji okupacyjnej w ciągu dwu lat istnienia. Przede wszystkim broniła przed poborem do Baudienstu lub werbunku przez Arbeitsamt na roboty do Niemiec. Niezależnie od tego można było zdobyć dużą wiedzę techniczną dzięki wysokiemu poziomowi kadry nauczającej, złożonej z profesorów Politechniki Lwowskiej.

Szkołę tę znam z autopsji. Jako absolwent II roku Liceum Mechanicznego we Lwowie przy ul. Karłowiczówny (d. Snopkowskiej), utrzymywałem kontakt z dyrektorem inż. Klaudiuszem Filasiewiczem. Po zajęciu Lwowa przez Niemców zdołał on uzyskać od władz zgodę na otwarcie śred-

Szkoła Techniczna we Lwowie przy ul. Snopkowskiej



niej szkoły technicznej. Ustalając program szkolenia zastosowałem normalny program polskiego liceum. W porozumieniu z dyr. Filasiewiczem zamieściłem w „Gazecie Lwowskiej” z 29 XI 1941 r. ogłoszenie, że studenci II–III roku Liceum lub Politechniki mogą się zgłosić na II rok Szkoły Budowy Maszyn przy ul. Akademickiej 9. Anons podpisałem swoim nazwiskiem, licząc na to, że zainteresują się szkołą moi dawni koledzy. Ogłoszenie to mam do dziś. Następnie ukazało się drugie ogłoszenie, już pod firmą szkoły, o dodatkowych wpisach.

W tym miejscu muszę przedstawić sylwetkę twórcy i dyrektora, inż. Filasiewicza. Był to wspaniały pedagog, wielki przyjaciel młodzieży i doskonały organizator. Stworzył w okresie międzywojennym Państwową Szkołę Techniczną, duży kombinat szkolenia zawodowego. W dużym gmachu zmieścił Gimnazjum Mechaniczne, Gimnazjum Elektryczne, Liceum Mechaniczne, Liceum Drogowe, Szkołę Mistrzów Rzemiosła Budowlanego, Kurs Roczny Wieczorowy „Radio” i taki sam kurs „Elektrotechnika”. Istniały duże warsztaty i laboratoria, a całość gwarantowała wypuszczenie doskonałych fachowców. Wspomnieć też warto, że w tym samym budynku mieścił się też Instytut Sztuk Plastycznych, kształcący malarzy i rzeźbiarzy, z wybitną kadrą profesorską, a także i absolwentów.

Inż. Filasiewicz po zamknięciu przez Niemców Politechniki zatrudnił w nowej szkole technicznej jej profesorów. Na moim wydziale mechanicznym wykładowali więc wybitni uczeni i wykładowcy, jak. prof. prof. W. Mozer (maszyny parowe), E. Geisler (obróbka metali), St. Łukasiewicz (dźwignice), M. Janusz (mechanika techniczna), Wł. Floriański (silniki spalinowe), S. Błażyński (rysunek techniczny). Wśród wszystkich wyróżniał się prof. Mozer, zawsze pogodny i uśmiechnięty, bardzo ciekawie objaśniający konstrukcje parowozów, wtedy jeszcze bardzo modnych. Lubiliśmy ten przedmiot, prowadzony przez starego kolejarza, gdyż profesor był nim od roku 1912 jako pracownik Dyrekcji Kolei we Lwowie. Był autorytetem tej branży, gdyż od r. 1918 równoległe z kierowniczą funkcją w kolejnictwie zaczął pracę na Politechnice. Robił szybką karierę: w r. 1922 został profesorem nadzwyczajnym, w r. 1929 zwyczajnym, w r. 1928/29



dziekanem Wydziału Mechanicznego, pełniąc stale funkcję kierownika Katedry Maszyn Kolejowych.

Przy takich profesorach w szkole panowała wspaniała atmosfera. Młodzież i profesorowie stanowili jedną polską rodzinę. Młodzież ówczesna poważnie traktowała życie, chętnie się uczyła, chociaż naprawdę ważny był podziemny nurt tego życia. Większość, jak się później okazało, uczestniczyła w konspiracji. Nie rozmawiano o tym, ale różne symptomy pozwalały się domyślać prawdy. Krążyły po szkole tajne gazetki, pewne grupy kolegów bardziej były ze sobą związane, rozmowy były szczere, ale tajemnic nie ujawniano. Trzeba podkreślić, że przez cały czas istnienia szkoły nie zanotowano żadnej wyspy, aresztowania, kłótni czy nieporozumień. Mogła do tego przyczynić się również obecność katechety, ks. Goli, wikariego z katedry, doskonałego kaznodziei, na którego niedzielne, południowe kazania uczęszczały tłumy lwowian. Ciekawym nauczycielem był też prof. Przybylski, uczący tzw. korespondencji polskiej, a w rzeczywistości języka polskiego. Znał on język węgierski, kontaktował się z żołnierzami garnizonu węgierskiego we Lwowie, uzyskiwał od nich wiele wiadomości

z frontów i ze świata, które nam na lekcjach nieraz przekazywał.

Formalnie szkoła była prowadzona bardzo rygorystycznie, bowiem nadzór niemiecki nie mógł mieć żadnych zastrzeżeń do jej działalności. Każdy uczeń przed podjęciem nauki musiał przyjąć do wiadomości oświadczenie, że:

1. Uczniowi nie wolno występować ze szkoły bez zezwolenia Urzędu Pracy we Lwowie.
2. W wypadku jeśli uczeń z powodu choroby nie może uczęszczać do szkoły, opieka domowa obowiązana jest zgłosić chorobę do trzech dni u opiekuna klasy, a w wypadku jego nieobecności w sekretariacie szkoły za pomocą kartki adresowanej do opiekuna klasy.
3. Po nieobecności w szkole trwającej dłużej jak 3 dni uczeń jest zobowiązany przedłożyć zaświadczenie lekarskie, usprawiedliwiające jego nieobecność.
4. Jeżeli uczeń jest nieobecny w szkole więcej jak 9 dni z rzędu, a opieka domowa nie da znać o zachorowaniu, kierownictwo szkoły jest obowiązane podać nazwisko i adres ucznia do Urzędu Pracy jako takiego, który zaprzestał uczęszczać do szkoły.

Takie były wtedy czasy, ale wielu szkołę ukończyło. Zachowałem do dziś świadectwo końcowe szkoły, z uzyskanym tytułem technika budowy maszyn. Po wojnie świadectwo to zostało przez Dyрекcję Okręgową Szkolenia Zawodowego uznane za równorzędne ze świadectwem ukończenia Liceum Mechanicznego. Wykorzystałem je w ważnym okresie życia, po zwolnieniu z więzienia we Wronkach po trzyletnim wyroku za działalność antykomunistyczną.

Na zakończenie przypomnieć trzeba, że część młodzieży Państwowej Technicznej Szkoły Zawodowej wstąpiła następnie do utworzonych Lwowskich Instytutów Technicznych. Dla ilustracji zamieszczam oryginalne ogłoszenie o rekrutacji słuchaczy z 1942 r. Oczywiście w Instytutach tych katedry objęli nasi profesorowie, wykorzystując możliwość przekazania młodzieży polskiej wiedzy politechnicznej, mimo trwającej wojny.

Sądzę, że warto było przypomnieć ten wycinek historii okupacji we Lwowie, fragment naszego życia i przeżyć młodzieńczych. Tyle z tego okresu zapamiętałem oraz myślę, że odezwą się jeszcze inni byli uczniowie tej szkoły i uzupełnią moje wspomnienia.

SYLWETKI

MIECZYŚLAW SOŁTYS

Kompozytor, dyrygent, pedagog i organizator życia muzycznego, urodził się w roku 1863 we Lwowie. Po ukończeniu gimnazjum w 1881 r. kształcił się w konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego w grze na fortepianie pod kierunkiem Karola Mikulego (ucznia Chopina). Równolegle studiował filozofię na Uniwersytecie Lwowskim. Studia kontynuował w Wiedniu, ucząc się kompozycji w tamtejszym konserwatorium, a następnie uzupełniał wykształcenie w Paryżu, studiując kontrapunkt i grę organową w słynnej szkole E. Gigouta. Korzystał ponadto ze wskazówek C. Saint Saensa w nauce kompozycji.

Po powrocie z zagranicy (1891) został profesorem konserwatorium GTM, ucząc gry na fortepianie i organach oraz przedmiotów teoretycznych. Uprawiał ponadto krytykę muzyczną, a swoje recenzje, polemiki i artykuły zamieszczał m.in. w redagowanych przez siebie „Wiadomościach Artystycznych” (w latach 1897–99). W r. 1899 został dyrektorem konserwatorium oraz



dyrektorem artystycznym Towarzystwa, pozostając na tym stanowisku aż do śmierci.

Przez 30 lat (1899–1929) był centralną postacią życia muzycznego Lwowa. Jako dyrektor artystyczny GTM (po I wojnie – Polskiego TM) dyrygował jego orkiestrą i chórami, realizując zazwyczaj po raz pierwszy we Lwowie najwybitniejsze dzieła muzyki polskiej i światowej. Na pierwszy plan wybiła się tu wprowadzenie na estradę koncertową wielkich dzieł oratoryjnych Bacha, Haydna, Berlioza, Nowowiejskiego. Przygotował wykonania koncertowe dzieł operowych m.in. Glucka i Wagnera.

Przez wiele lat prowadził działalność społeczno-organizacyjną. Był inicjatorem utworzenia Związku Muzyków Pedagogów i długoletnim jego przewodniczącym, a także prezesem Związku Zawodowego Muzyków. Był też współorganizatorem i przewodniczącym pierwszego walnego Zjazdu Muzyków w Polsce Odrodzonej. Zmarł we Lwowie w 1929 r. i został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim.

Twórczość Mieczysława Soltysa obejmuje muzykę dramatyczną (opera, dramat), oratoria, kantaty, niewielkie utwory chóralne, utwory orkiestrowe, kameralne, organowe, fortepianowe i pieśni. Centralne miejsce w dorobku zajmują opery: *Rzeczpospolita Babińska*, *Panie Kochanku*, *Jeziro Dusza*, *Maria* i dramat muzyczny *Nieboska komedia*. Wśród utworów orkiestrowych: *Symfonia b-moll*, poematy symfoniczne, *Koncert fortepianowy c-moll*. Ważną rolę w twórczości M. Soltysa odgrywają również oratoria: *Śluby Jana Kazimierza* (1895), *Królowa Korony Polskiej* (1904). Na pograniczu oratorium i opery stoi misterium dramatyczne *Ver sacrum* o życiu św. Franciszka z Asyżu (1929).

(skrót życiorysu, opracowanego przez
wnuczkę, Marię Soltys-Pigłę)

ADAM SOŁTYS

Kompozytor, dyrygent, pedagog i organizator życia muzycznego, urodził się w 1890 r. we Lwowie, jako syn kompozytora Mieczysława Soltysa. W latach 1904–11 kształcił się w konserwatorium Galicyjskie-

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

KAJZERWALD

Długie wzgórze, biegnące równoleżnikowo po płn. stronie miasta Lwowa, oddzielające Łyczaków po płd. stronie od Zniesienia (po płn. stronie, zob. *Słownik*, CL 4/99). Będąc fragmentem wschodniego zakończenia pasma Roztocza (między Wysokim Zamkiem a Czarrowską Skalą, zob. CL 2/98), stanowi zarazem naturalne rozgraniczenie dwóch innych, odmiennych krain geograficznych: Płaskowyżu Lwowskiego (należącego do Opola, a tym samym do Podola, zob. CL 3/98) od południa i Pobuża na północy. Grzbiet Kajzerwaldu zaczyna się po stronie zach. Górą Piaskową (zwaną też Łysą Górą, 395 m n.p.m.), a po wsch. stronie zlewa się z górnym Łyczakowem. Wysokość grzbietu zawiera się w granicach 360–370 m npm.

Wzgórze posiada bogate urzeźbienie, jest pełne wąwozów, rozpadlin i stromych stoków, które od dawna sprzyjały zabawom młodzieży, spacerom i sportom zimowym. Była tu skocznia narciarska (zob. Zniesienie). Jest również atrakcyjnym punktem widokowym.

Wzgórze nosiło do XVIII w. nazwę Brodzkiego (od przedmieścia *Brodzkiego*). Później, gdy lwowska rodzina patrycjuszowska Longchamps de Berier miała tam swoją posiadłość, nazywano je Lonszanówką. Na samym końcu XVIII w. odwiedził to miejsce cesarz austriacki Józef II i wtedy zaborcze władze miejskie na jego cześć nazwały je Kajzerwaldem (*Keiserwald*, używano też nazwy spolszczonej: *Cesarski Lasek*). Jednak nazwa Lonszanówka nadal była używana dla wschodniej części wzgórza (i tak podają plany miasta).

Wzgórze było niegdyś porośnięte laskami. Zostały one wycięte (przez okoliczną ludność na opał) w czasie I wojny światowej, tak iż

go Towarzystwa Muzycznego. Równolegle uczęszczał do gimnazjum, gdzie też odbył się jego debiut kompozytorski – napisał ilustrację muzyczną do dramatu *Antygona* Sofoklesa.

Studia muzyczne kontynuował w Berlinie, początkowo w Królewskiej Wyższej Szkole Muzycznej, a następnie w mistrzowskiej klasie kompozycji w Królewskiej Akademii Sztuki, dokąd przyjęty został jako stypendysta rządu niemieckiego. Równolegle studiował muzykologię na uniwersytecie berlińskim, uzyskując stopień doktora filozofii (1921).

Po powrocie z zagranicy został profesorem konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego (dawnego GTM), ucząc harmonii, kontrapunktu i kompozycji. Wkrótce objął kierownictwo kursu operowego, klasy orkiestrowej i klasy dyrygentury, z której wyszli m.in. J. Kołaczkowski, W. Krzemieński i rozpoczął studia światowej sławy artysta Stanisław Skrowaczewski. Po śmierci ojca (1919) został dyrektorem konserwatorium PTM i dyrektorem artystycznym Towarzystwa, pozostając na tym stanowisku do końca roku 1939.

W szeroko zakrojonej działalności Adama Sołtysa centralne miejsce zajmuje dyrygentura, której szczytowy okres przypada na lata 1925–39. Do ważniejszych osiągnięć w pracy z zespołami PTM (orkiestrą i chórami) należy wprowadzenie przede wszystkim wielu niewykonywanych dotąd dzieł oratoryjnych, zarówno współczesnych (m.in. Strawińskiego), jak i dawniejszych (m.in. polskie prawykonanie *Oratorium na Boże Narodzenie* J.S. Bacha). Uważając na szczególnie ważne zadanie popularyzacji utworów kompozytorów polskich, artysta wykonał po raz pierwszy w Polsce wiele dzieł, zwłaszcza muzyki współczesnej, wśród nich *III Symfonię „Pieśń o nocy”* K. Szymanowskiego, której realizacja była jej światowym prawykonaniem.

W latach 1929–39 A. Sołtys prowadził aktywną działalność muzyczno-organizacyjną. Był jednym z inicjatorów utworzenia, a następnie prezesem Towarzystwa Muzyki Współczesnej. W r. 1933 wystąpił z projektem zorganizowania Filharmonii Lwowskiej, zostając wkrótce głównym dyrygentem nowo utworzonej placówki. Ponadto należał do ministerialnej Komisji Opiniodaw-

czej, był prezesem Związku Muzyków Pedagogów i Związku Instrumentalistów. Na początku lat 30. objął kierownictwo nowo powstałej redakcji muzycznej w Radiu lwowskim.

Po II wojnie kontynuował pracę pedagogiczną w państwowym konserwatorium we Lwowie, sporadycznie dyrygował koncertami symfonicznymi (do 1953 r.), wykonując głównie dzieła muzyki polskiej. Zmarł w roku 1968 i został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim.

Twórczość Adama Sołtysa obejmuje kompozycje instrumentalne (orkiestrowe, kameralne, fortepianowe), wokalne (chóry a *capella*) i wokalnie-instrumentalne (pieśni solowe na głos z fortepianem lub orkiestrą). Na marginesie twórczości stoi jedyny utwór sceniczny – muzyka do dramatu J.S. Petry'ego *Lwie serca*). Podstawowy nurt twórczości stanowią utwory na orkiestrę symfoniczną: dwie symfonie, dwa poematy symfoniczne (m.in. *Słowianie*, 1947), trzy suity (m.in. *Suita góralska*, 1939).

Styl muzyczny A. Sołtysa ukształtował się pod wpływem późnego romantyzmu oraz polskich tradycji narodowych.

(skrót życiorysu opracowanego przez córkę, Marię Sołtys-Pigłę)

Z TAMTEJ STRONY

Wydarzenia

◆ W naszym numerze *wołyńskim* (CL S/2000) pisaliśmy sporo o Ostrogu i tamtejszym proboszczu. I oto nadeszła wiadomość o włamaniu i ograbieniu ostrogskiego kościoła pw. Wniebowzięcia NPM. Świątynia ta dopiero niedawno została doprowadzona do porządku. Sowietci zamienili ją na szkołę sportową, a po zalaniu wodą część kościoła zapadła się do podziemia. Wyszadzili w powietrze dzwonnice i kaplicę, zniszczyli ogrodzenie. Zdjęcie tego kościoła zamieściliśmy we wspomnianym numerze CL. W tym numerze omawiamy kolejną książkę ks. Kowalowa.

POLACY z POLAKAMI

Do zapamiętania

◆ W pierwszej połowie stycznia odbył się, jak co roku, **kurs przygotowawczy na studia** dla młodzieży maturalnej z za wschodniej granicy. Zajęcia odbywały się w czterech grupach: dwóch humanistycznych, matematycznej i biologiczno-chemicznej. W kursie wzięła udział młodzież ze Lwowa, Stanisławowa, Drohobycza i Truskawca, Sambora, Mościsk, Sądowej Wiszni, Czortkowa, a także z Łucka i Czerniowiec oraz z Ukrainy. Organizatorem kursu była jak zwykle krakowska „Wspólnota Polska”.

◆ Zgodnie z paroletnią już tradycją, **co-rocennie odwiedzają się nawzajem uczniowie** VII LO im. Z. Nałkowskiej w Krakowie oraz Szkoły nr 10 im. św. Marii Magdaleny we Lwowie. W czercu ub.r. młodzież krakowska była we Lwowie, a z końcem października przez tydzień przebywała w Krakowie młodzież lwowska. Spotkano się z panią prezydent Teresą Starmach, która obiecała pomoc Krakowa w kwestii podręczników.

◆ We wrześniu ub.r. udała się do Lwowa i kilku innych miejscowości wschodniomałopolskich **wycieczka lekarzy** z Wrocławia, zorganizowana przez Dolnośląską Izbę Lekarską, pod kierownictwem dr Haliny Mędrak. Poza Lwowem odwiedzono Złoczów, Krzemieniec, Drohobycz, Sambor i parę innych – zabytkowych. Spotkano się z lekarzami polskimi, zebrano informacje o dotkliwych brakach tamtejszej służby zdrowia (pacjent musi przynieść do szpitala pościel, środki opatrunkowe, strzykawki, leki, postarać się o wyżywienie i zapłacić chirurgowi za operację) oraz trudnej sytuacji materialnej lekarzy. Wycieczkę tę opisała Elżbieta Pomorska na łamach „Gazety Lekarskiej” 11/2000.

w latach międzywojennych było gołe. Dopiero po II wojnie jego grzbiet został na nowo zalesiony. Założono tam także park etnograficzny (skansen) ruskiego budownictwa drewnianego. (A.C.)

LWÓW (położenie i system wodny)

Położenie Lwowa na kuli ziemskiej określają współrzędne: 24°0'50" długości geogr. wschodniej i 49°50'10" szerokości geogr. północnej. Pod względem wysokościowym: najniższa warstwica w obrębie miasta (przed 1945 r.) ma wartość 245 m n.p.m., najwyższa 398 m, średnia wysokość bezwzględna wynosi 311,8 m.

Pod względem makrogeograficznym Lwów leży na międzymorzu bałtycko-czarnomorskim, niemal dokładnie w połowie odległości – ok. 600 km – od obu mórz i jest głównym punktem na linii łączącej te morza. Fakt ten miał dla Lwowa – dla jego gospodarczego, społecznego i kulturalnego rozwoju istotne znaczenie. Lwów leży zarazem dokładnie na dziale wód między zlewiskiem Bałtyku i Morza Czarnego. Wody lwowskie przez Pełtew i Bug spływają do Wisły, ale południowe przedmieścia miasta leżą już w dorzeczu Dniestru (wszystkie zob. CL 2/2000). Samo miasto nie ma jednak większej rzeki. Wszystkie te cechy sprawiają, że Lwów pod względem usytuowania nie znajduje analogii w skali światowej.

W lokalnej skali geograficznej Lwów leży na pograniczu trzech zróżnicowanych krain: Rostocza, Podola – w szczególności jego części zachodniej, zwanej Opolem (wszystkie zob. CL 3/98), oraz Pobuża. Płn.-zach. kraniec Opola, dochodzący do Lwowa od pld., określany jest jako *plaskowyż lwowski*.

Hydrografia. Miasto Lwów (w zakresie przestrzennym, sprzed rozbudowy sowieckiej po 1945 r.) położone jest w rozległej kotlinie, wcinającej się w Płaskowyż Lwowski (ku pld.), a powstały na skutek erozji dokonanej przez strumienie źródłiskowe Pełtewi.

Rzeczka Pełtew, lewobrzeżny dopływ górnego Bugu, powstaje jako zlewisko kilku strumieni, z których znacznieszymi są Pasięka, potok Wulecki i Żelazna Woda.

W Krakowie i dalej

82. ROCZNICA

Mszą św. w Bazylice Mariackiej i akademią w dominikańskim Kapitularni uczczono w Krakowie tradycyjnie, jak co rok 22 listopada, rocznicę Obrony Lwowa 1918. Mszę pod przewodnictwem ks. infułata Stanisława Małysiaka, który poświęcił żarliwą homilię zwycięskiej walce Orłąt Lwowskich, koncelebrowali o. płk. Adam Studziński i ks. dr Józef Wołczański. Kościół był jak zwykle pełen, stały się poczty sztandarowe Ogólnopolskiego Okręgu AK, Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej – Kraków-Wschód i Małopolskiego Związku Harcerzy KPN oraz harcerze z XIX Szczępu Krakowskich Lotniczych Drużyn Harcerskich.

Na program wieczoru u oo. Dominikanów (przy szczelnie zapełnionej sali) złożyły się recytacje i śpiew solowy oraz koncert Chóru „Organum”. Swoje wiersze zaprezentowali Magdalena Paździora – recytowała je aktorka Ewa Stolzman-Kotlarczyk – i Wiesław Krawczyński. Wiersze deklamowała



Msza św. za Orłętą. Od lewej: Ks. dr J. Wołczański, Ks. infułata St. Małysiak, O. płk. Adam Studziński

Jadwiga Wrońska, pieśni patriotyczne śpiewał solista Opery Krakowskiej Stanisław Ziółkowski, a utwór ze słowami Marii Przybylskiej zaśpiewał Jerzy Bożyk.

„Organum” i zespół „Ricerca”, dyrygowane przez prof. Bogusława Grzybka, wykonały – oprócz kilku pieśni patriotycznych – fragmenty z oratorium „Śluby Jana Kazimierza” M. Sołtysa. Partie solowe zaśpiewali Wiktorja Bisztyga i St. Ziółkowski.

Prof. Grzybek wypowiedział piękne słowa o Lwowie i jego miejscu w historii i kulturze polskiej, o potrzebie zachowania pamięci i przekazywania jej młodzieży – o pierwszej stolicy Królowej Korony Polskiej, obranej we Lwowie przez króla Jana Kazimierza w 1656 r. Odpowiedziano Profesorowi i jego Zespołowi podziękowaniem za wszystko, co czynią dla Lwowa i całych Ziemi Wschodnich, po tamtej i po tej stronie kordonu.

Zdzisława Stopczyńska

Notatki

◆ Jak corocznie kwestowano na czterech cmentarzach krakowskich w dniach 29 X oraz 1 i 2 XI 2000 na rzecz **ratowania zabytkowych obiektów Cmentarza Łyczakowskiego**. Obok członków TMLiKPW z puszkami stali dyrektor i uczniowie VII LO im. Z. Nałkowskiej. Zebrano łącznie 35 244 zł. Wszystkim *kwestarzom* i darczyńcom serdeczne podziękowanie.

◆ Dobrze w Krakowie znany **ks. Tadeusz Zaleski** został mianowany przez Prymasa duszpasterzem wiernych obrządku ormiańskokatolickiego w archidiecezji krakowskiej. Będzie więc odprawiał liturgię w tym obrządku i języku ormiańskim w kościele św. Idziego, gdzie od dziesięcioleci gromadzą się Ormianie zamieszkali w Krakowie. Księdzu Tadeuszowi i tutejszym Ormianom serdecznie gratulujemy.

Wyjątkowo niekompetentnie sformułowaną informację przekazał czytelnikom krakowski „Dziennik Polski” (tak zawsze przez nas chwalony!) nr 293/2000. Przekreślono wypowiedź księdza, który miał powiedzieć, że *moi stryjowie byli duchownymi obrządku ormiańskiego, a ja jestem pierwszym katolickim księdzem w rodzinie*. Zdanie powin-

no brzmieć: „moi stryjowie byli duchownymi obrządku ormiańskokatolickiego, a ja jestem pierwszym rzymskokatolickim księdzem w rodzinie”.

Przypomnijmy, że krewnym (od strony matki) ks. Tadeusza był arcybiskup ormiańskokatolicki we Lwowie w 2. połowie XIX w. Izaak Mikołaj Issakowicz. Ks. Tadeusz miał także zostać księdzem w tym obrządku, jednak władze komunistyczne uniemożliwiły mu wyjazd na studia do Rzymu.

◆ Profesor UJ **Franciszek Sławski**, wybitny językoznawca i slawista, autor prac o języku bułgarskim i prasłowiańskim, zmarł w Krakowie. Urodził się w Kopyczyńcach w Tarnopolskiem w 1916 r, a do Krakowa przybył w 1934 r.

◆ Krakowska Filia Fundacji Kultury Polskiej wyróżniła w r. 2000 „Złotym Laurem za Mistrzostwo w Sztuce” m.in. **Stanisława Dziedzica** – za *mistrzostwo w portretowaniu Uniwersytetu Jagiellońskiego, Krakowa i Małopolski*. St. Dziedzic znany jest również ze swego zainteresowania i znawstwa Lwowa – to jemu w największej mierze zawdzięczamy, że narodził się nasz kwartalnik. W nrze CL 1/96 ukazała się jego rozmowa z prof. Janem Ostrowskim.

Innym wyróżnionym jest Leszek Długosz – za mistrzostwo w sztuce poezji śpiewanej. W CL 2/98 zamieściliśmy jego piękną wiersz pt. *Oda do mowy kresowej*.

W 1999 r. Złote Laury otrzymali m.in. śp. red. Józef Dużyk, przyjaciel naszego kwartalnika i jego propagator, a także Jerzy Madeyski, historyk i krytyk sztuki, lwowianin z urodzenia, z którym rozmowę zamieściliśmy w CL 3/99.

Jeszcze wcześniej wyróżniony został prof. Juliusz Joniak, o którym piszemy także w tym numerze.

◆ Nowym ambasadorem Izraela w Polsce został **prof. Szewach Weiss**, urodzony w **Borystawiu** przed 66 laty. Ukończył studia na uniwersytetach w Jerozolimie i Tel Awiwie. W latach 80. był wiceprzewodniczącym i przewodniczącym Knessetu. Od ub.r. jest przewodniczącym Rady Instytutu Pamięci Yad Vashem. Napisał 16 książek dla dzieci i 27 książek z dziedziny nauk politycznych i socjologii.

Potok Żelazna Woda wypływa z dwóch źródeł w pld.-wsch. części dzisiejszego miasta, na Snopkowie. Płynąc w linii ul. Snopkowskiej*, przez staw, który w XX w. stał się znanym kąpieliskiem (pod tą samą nazwą), zbiega się w rejonie pl. św. Zofii z potokiem Wuleckim. Dalszy, wspólny przebieg ma miejsce wzdłuż ul. Jabłonowskich i Romanowicza, do pl. Akademickiego, gdzie dochodzi Pasieka. Powstała w ten sposób rzeczka była już określana jako Pełtew, z tym że w ostatnich czasach nazwę tę rozciągnano na cały potok Żelazna Woda, a jego źródła traktuje się jako główne źródła Pełtwi.

Potok Wulecki, zwany niegdyś *Soroką*, powstaje z dwóch strumieni w rejonie Kulparkowa (zob. CL S/99) w pld. zach. stronie Lwowa, płynąc w linii ul. Wuleckiej, a potem po pld. stronie wzgórza, na którym w XIX w. zbudowano Cytadelę – ulicami Pełczyńską i Oberłyńską. Zbierając po drodze liczne stawy, dochodził do dzisiejszego pl. św. Zofii, gdzie łączył się z Żelazną Wodą, czyli Pełtwią.

Pasieka, zwana w średniowieczu *Srebrnym Potokiem*, wypływając z Pohulanki (zob.) płynie w linii ul. Kochanowskiego i Łozińskiego – do pl. Akademickiego, gdzie zbiega się z dwoma połączonymi już strumieniami, tworząc z nimi Pełtew.

Dalszy przebieg Pełtwi był niegdyś równoległy do dzisiejszej ul. Akademickiej i Wałów Hetmańskich, ale po ich stronie zachodniej – jak późniejsze ulice Sokoła, Szajnochy, Rzeźnicka, a następnie ul. Słoneczną. Gdy zakładano Lwów kazimierzowski, rzeczkę przesunięto o parędziesiąt metrów ku wschodowi, tak iż stała się ona fosą po zach. stronie murów miasta. Dalej, ku północy (wchłaniając jeszcze potok spływający spod Wysokiego Zamku trasą ul. Teatryńskiej) wypływała w linii ul. Pełtewnej poza zabudowę Przedmieścia Krakowskiego.

W swoim biegu po dnie kotliny, która stała się kolebką miasta, i jeszcze dalej – Pełtew i inne strumienie tworzyły rozległe bagna i trzęsawiska, a pośród nich istniały liczne stawy – w końcu XIV w. było ich tam prawie 40. Liczba ich przez wieki systematycznie malała, na

KULTURA NAUKA

PAMIĘCI SOŁTYSÓW

Z początkiem listopada ub.r. odbyło się we Lwowie uroczyste odsłonięcie i poświęcenie na domu przy ul. Raclawickiej (łączy ul. św. Zofii z Poniatowskiego – wejście na Plac Powystawowy) tablicy dla upamiętnienia mieszkających tam niegdyś dwóch wybitnych muzyków polskich, Mieczysława i Adama Sołtysów (ojca i syna, ich *sylwetki* prezentujemy w tym numerze). Inicjatorem i głównym fundatorem tablicy był krakowski Chór „Organum”, którego twórca i dyrygent, prof. Bogusław Grzybek, jest wielkim miłośnikiem i propagatorem twórczości muzycznej Sołtysów. Do powstania tablicy przyczyniły się również krakowskie oddziały Związku Kompozytorów Polskich oraz Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wschodnich. Wszyscy trzej fundatorzy zostali na kamiennej tablicy podpisani.

Na uroczystość wyjechały do Lwowa „Organum” i zespół instrumentalny „Ricer-car” oraz chór „Cantata” z Niepołomic, łącznie ok. 100 osób. Poświęcenia tablicy dokonał ks. abp. M. Jaworski. Przemawiali

wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego Żurowski, konsul generalny RP Sawicki i kilka innych prominentnych osób, w imieniu fundatorów zaś prof. B. Grzybek i A. Chlipalski – ten drugi również w imieniu krakowskiej „Wspólnoty Polskiej”, która podróż zespołów i towarzyszących im osób sfinansowała. Podziękowanie ze strony rodziny kompozytorów wygłosiła ich córka i wnuczka, p. Maria Sołtys-Piğła.

Stanisław Sochaniewicz



Tablica pamiątkowa M. i A. Sołtysów we Lwowie

POLSKI FESTIWAL WE LWOWIE

W tym samym dniu, co opisana wyżej uroczystość (4 listopada 2000), odbyła się inauguracja III Festiwalu Kultury Polskiej we Lwowie. W pełnym Teatrze Wielkim po części oficjalnej zaprezentowały się polskie zespoły artystyczne i soliści ze Lwowa, Drohobycza, Stryja i innych oraz z całego państwa ukraińskiego, w tym z Kijowa, Czerniowiec, Donbasu itd. Największą furorę wywołały kapitalne występy dwóch skrajnych wiekowo grup: przedszkolaków z ul. Strzały (obecnie Meteorologiczna) oraz starszuchów ze wsi Maćkowce w powiecie płoskirowskim (obecnie chmielnickim).

Formalne otwarcie poprzedziło – poza opisanym odsłonięciem tablicy pamiątkowej Sołtysów – otwarcie w nowym pawilonie obok pałacu Potockich przy ul. Kopernika – wystawy współczesnych plastyków i fotografików-Polaków, żyjących po tamtej stro-



nie granicy, głównie we Lwowie. Cieszymy się z tej wystawy, bo jest ona kolejnym krokiem – po naszej publikacji w CL 4/99 – ku integracji tego środowiska.

Nazajutrz, w niedzielę, po solennej Mszy św. w Katedrze, w czasie której śpiewały Chór „Organum” z Krakowa i „Cantata” z Niepołomic, odbył się wernisaż wystawy Heleny Jacyno pt. *Biały, czerwony i innych barw tajemnice*. Jej grafiki, wykonane techniką wycinanki, wzbudziły autentyczny podziw wszystkich gości wernisażu. Warto, by wystawa ta trafiła do wszystkich ważniejszych ośrodków w RP.

Po południu tego samego dnia oba chóry – „Organum” i „Cantata” – dały pod dyktando prof. Bogusława Grzybka wspaniały koncert w kościele św. Marii Magdaleny (zamienionym, jak wiadomo, na „salę koncertową”).

Naszym wysłannikiem nie udało się zobaczyć następnych imprez festiwalu – we Lwowie, Stanisławowie, Truskawcu i Krzemieńcu oraz Kijowie, trwających do 11 listopada.

Warto na koniec nadmienić, że opisany Festiwal Kultury Polskiej *na Ukrainie*, zorganizowany nie bez trudu (trudności czynione ewidentnie w sposób sztuczny) był trzecim z kolei, podczas gdy festiwali kultury ukraińskiej w RP odbyły się dotąd s z e s n a ś c i e. Jak sobie wytłumaczyć taką dysproporcję? Festiwale polskie (1996, 1998, 2000) finansuje strona polska – ciekawe, kto finansuje festiwale ukraińskie? Też Polska?

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że na otwarciu 4 XI we Lwowie był obecny polski wiceminister, a ze strony ukraińskiej – wicewojewoda (nawet nie wojewoda). Na inaugurację ostatniego festiwalu ukraińskiego w Warszawie przybył premier J. Buzek. *No comment* – jak to się dziś mówi „po europejsku”.

Andrzej Chłipalski

NOWE BULWARY, ULICE I MOSTY W KRAKOWIE

Kraków nie był nigdy zwrócony ku Wiśle. Rzeka płynęła jakby mimo miasta, tylko Wawel był z nią krajobrazowo związany. Dzisiaj urbaniści i architektki naprawiają błędy przeszłości i miasto coraz bardziej wią-

początku XX w. było ich zaledwie kilka, a z tych najznaczniejsze: staw Sobków przy drodze Wuleckiej (pod Kastelówką – zob. CL S/99) oraz stawy Pelczyński i Panieński, oba u stóp góry Wronowskich (Cytadeli), zlikwidowane w 1921 r. Śladem popularnego ongiś stawu Pelczyńskiego jest wcięcie u stóp Cytadeli, naprzeciw tzw.górek pelczyńskich. Dwa inne stawy zostały zamienione na kąpieliska: Święteż przy drodze Wuleckiej i Żelazna Woda. Strumienie lwowskie były dawniej w wielu miejscach przegradzane, a spiętrzone wody uruchamiały liczne młyny (w XVIII w. było ich ok. 30), prowadzono tam też hodowle ryb.

Po płn. stronie miasta Pełtew zmieniała kierunek z południkowego na równoleżnikowy – wschodni oraz płn. wschodni. Zbierając wszystkie strumienie spływające z wzgórz, osłaniających miasto od północy, dopływa pod Bukiem do Bugu.

W ciągu XIX w. Pełtew i strumienie, z których powstała, zostały zasklepione i włączone w system kanalizacji miejskiej. Pierwszy, stu-kilkudziesięciometrowy odcinek, przykryty w r. 1841 pozwolił na założenie placu Mariackiego. Główne prace wykonano w latach 1883–92, a ukończono w 1905 r. Nad sklepieniem powstałych w ten sposób kanałów założono ulice, przede wszystkim Akademicką i Wały Hetmańskie. Z podziemi wypływa Pełtew za Zamarstynowem.

Południowe i zachodnie krańce miasta, położone poza obrębem kotliny, są odwadniane przez potoki i rzeczki spływające w przeciwnym kierunku niż wyżej opisane – do Dniestru (zlewisko M. Czarnego): potok Białohorski (powstaje w okolicy głównego dworca, spływa do Starej Rzeki, a z nią do Wereszycy), Szczerek, Zubrza (powstaje za Persenkówką).

System wodny Lwowa nie był jednak – w miarę rozwijania się miasta – wystarczający do zaopatrzenia go w wodę do celów bytowych. Pierwotnie służyły do tego celu liczne studnie i lokalne wodociągi, w 1901 r. oddano zaś do użytku nową sieć, opartą na bogatych źródłach w Woli Dobrostańskiej i Szkle (w Roztoczu k. Janowa, ok. 30 km). Woda ta ucho-dziła jakościowo i smakowo za najlepszą

że się ze swoją rzeką. Powstają bulwary, które już stają się atrakcyjnymi trasami spacerowiczów. I będzie ich przybywać.

Ostatnio bulwarom nadano nazwy. Najważniejszy i najładniejszy, najbardziej uczęszczany, biegnący pod samym Wawelem między mostami Dębnickim i Grunwaldzkim, otrzymał nazwę *C z e r w i e ń s k i e g o*. Naprzeciw, po dębnickiej stronie Wisły biegnie bulwar *P o l e s k i*, a w jego przedłużeniu, pod hotelem „Forum” – *W o ł y ń s k i*. Dalsze bulwary noszą nazwy Inflancki i Kurlandzki.

W Krakowie rozpoczyna się wreszcie budowa dwóch nowych mostów (tego właśnie życzyliśmy prezydentowi A. Gołasiowi, gdy obejmował swój urząd). Mają one dostać imiona: kardynała Adama Stefana Sapiehy oraz generała Tadeusza Rozwadowskiego. Skąd pochodzili ci dwaj wielcy ludzie, tego w *n a s z y m* piśmie tłumaczyć nie trzeba. Napiszemy o tym w stosownym czasie.

Dwie dzielnice krakowskie chciałyby swym nowym ulicom nadać imię Zbigniewa Herberta. Zespół ds. nazewnictwa w Urzędzie Miasta uważa, że powinna to być duża ulica, a nie uliczka, skłania się przeto do przemianowania dotychczasowej roboczej nazwy ul. Nowotarskiej w dzielnicy XI. Za to w dzielnicy III upatrzona niewielka ulica stałaby się ul. Pana Cogito.

To ładnie. Ale bywało i inaczej. Przed paru laty wyczytaliśmy w prasie, że gdy w odpowiedniej komisji obradowano nad nazewnictwem nowych ulic i rozważano serię „uzdrowską”, padła propozycja nadania m.in. nazw *Druskiennickiej* i *Truskawieckiej* – dwóch radnych, Nowak i eksprezydent miasta Rościszewski, wyskoczyli: czy nie mamy dość *p o l s k i c h* uzdrowisk? Ale ulice i tak są.

Marek Wenecki

Kronika

◆ *Obraz na obrazie a na tym obrazie jeszcze jeden obraz* – Wystawa artystów szczyjących się lwowskim rodowodem została otwarta w krakowskim klubie „Zaułek” przy ul. Poselskiej w listopadzie 2000 r. Temu niezwykłemu wydarzeniu kulturalnemu poświęcimy specjalne sprawozdanie w następnym numerze CL.

◆ W listopadzie ub.r. odbyła się w Łańcucie sesja pt. *Sztuka w zbiorach i architekturze Lwowa i Łańcuta*, na której mówiono m.in. o Katedrze łacińskiej w XVIII w. oraz o freskach z XIV w. i o malarstwie J.H. Rosena (lata 1926–29) w Katedrze ormiańskiej, a dalej o kolekcji portretów Lanckorońskich z pałacu w Rozdole – obecnie w muzeum w Drohobyczu, o pałacu Potockich we Lwowie dawniej i dziś, a wreszcie o architektach lwowskich: Julianie Cybulskim i Janie Sas-Zubrzymkim (o tym ostatnim mówił J. Tyson).



◆ W listopadzie w Domu Kultury „Jordanówka” na osiedlu Widok w Krakowie czynna była wystawa **fotografii Piotra Łepkowskiego** pt. *Lwów w roku 2000*. Autor jest młodym absolwentem AGH, interesującym się historią kopalnictwa naftowego, stąd bywałam w tamtych stronach.

◆ **Pani Karolina Lanckorońska** ofiarowała następne obrazy Wawelowi (o poprzednim darze donosiliśmy w CL 4/2000). Są to dwa niewielkie dzieła malowane temperą na desce, powstałe prawdopodobnie we Florencji z początkiem XV w.: *Św. Franciszek z Asyżu* i *Pokłon Trzech Króli*.

Od 1994 r. Pani Lanckorońska przekazała na Wawel 561 obiektów starej sztuki.

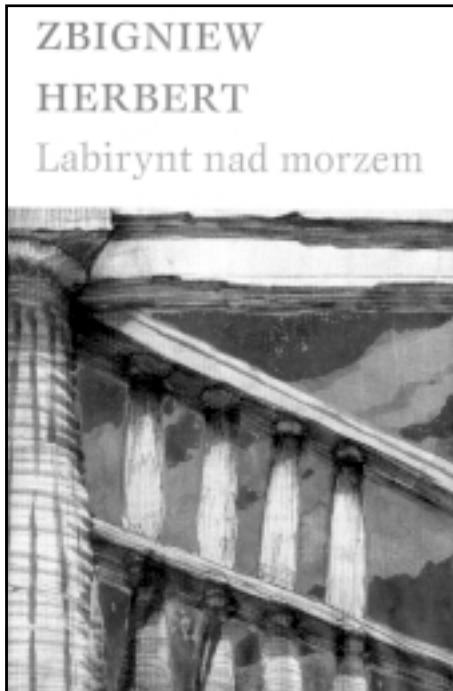
Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Wydarzeniem wydawniczym samego końca drugiej połowy XX wieku jest pośmiertne ukazanie się książki **Zbigniewa Herberta**, największego poety polskiego tej epoki. Zmarły przed dwoma laty poeta przygotował ją do druku już w 1973 r., ale ani wtedy, ani przez następne ćwierć wieku nie ukazała się. Książka nosi tytuł **Labirynt nad morzem** i składa się z siedmiu esejów poświęconych poznawaniu i odczuwaniu Grecji, jej krajobrazu, sztuki, historii, kultury. Wraz z *Barbarzyńcą w ogrodzie* oraz *Martwą naturą z wędzidłem* tworzy niezwykłą trylogię o sztuce i cywilizacji Południa i Północy, od antyku do czasów współczesnych.

Tę książkę trzeba nabyć pośpiesznie, bo z półek księgarskich znika błyskawicznie.

Książka dostępna we wszystkich księgarniach.



w Polsce. W pierwszych latach XX w. skanalizowano też większą część miasta.

(A.C.)

* Wszystkie przytoczone polskie nazwy ulic i placów powstały na przełomie XIX/XX w., nie istniały więc w czasach, gdy omawiane potoki płynęły wolno. Ich użycie jest jednak niezbędne dla wyjaśnienia przebiegu tych potoków.

POHULANKA

Obszerna, zalesiona kotlina, położona niegdyś za miastem, po jego wsch. stronie. Od płn. graniczy z Cetnerówką (zob.) i Mazurówką (a w dolnej części z cmentarzem Łyczakowskim), od wsch. dochodzi do Pasiak Łyczakowskich. Płd. strona (stok płn. kotliny) nosiła nazwę *Lasku Węglińskiego* (Lasek *Węgliński* lub *Węglińskiego*) zbliżającego się prawie do Drogi Sichowskiej (późniejszej ul. Zielonej, w jej górnym odcinku). Dnem kotliny spływa potok Pasiaka (zob. Lwów), poniżej lasu skanalizowany. Wzdłuż niego (równoległe do cmentarza) biegnie ul. Pohulanka, a dalej ku zachodowi aż do centrum miasta ul. Kochanowskiego, powstała po zasklepieniu potoku z końcem XIX w. (stąd dawniej zwana *Na Rurach*). W dolnej części lasu był staw.

W XVIII w. była tu posiadłość wiejska rodziny Deymów. Od nich odkupiła majątek rodzina Dzięwałtowskich, a później bogaty adwokat lwowski Franciszek Węgliński (Węgleński). Ten wybudował sobie na dnie doliny pałacyk i nazwał go „Pohulanką” (nazwa rozszerzona później na cały obszar kotliny i lasu). Przed 1820 r. Węgliński sprzedał posiadłość restauratorowi Janowi Diestlowi. Ten w pałacyku urządził piwiarnię, a z lasu i stawu uczynił miejsce rozrywkowe, pozbawiając Pohulankę jej dotychczasowego sielankowego charakteru, opisanego przez J.U. Niemcewicza, który gościł tam w 1820 r.

Od 1848 r. Pohulanka była własnością rodziny Kleinów, którzy zbudowali tam browar i prowadzili restaurację. Był tu też letni pawilon cukiernika lwowskiego Maisona. Browar, którego piwo uchodziło za najlepsze we Lwowie, został później odkupiony przez lwowskie

📖 Książka jest niezwykła, opieramy się przeto na profesjonalnej recenzji K. Masłonia z „Rzeczypospolitej” 141/99. Chodzi o **Włodzimierza Odojewskiego Oksanę** (wyd. „Twój Styl”, Warszawa 1999). Recenzent pisze: [...] *Odojewski napisał książkę piękną, pod wieloma względami zupełnie inną od „Zasypie wszystko, zawieje...”, pod innymi – bliźniaczo do niej podobną, dowodząc „Oksaną”, że prawdopodobnie jest najlepszym żyjącym powieściopisarzem polskim. „Oksana” to wielki triumf powieści.* [...]

Tematem książki są przeżycia Polaka, Karola, rodem z ziem południowo-wschodnich, świadka zbrodni ukraińskich – jego rodzina została żywcem spalona w kościele w Hucie Pieniackiej k. Złoczowa – który po wojnie naraził się władzom PRL za tropienie zbrodni sowieckich na Śląsku, a wyrwawszy się z Polski, osiadł w Monachium. W czasie podróży po Włoszech spotyka młodą Ukrainkę Oksanę, córkę kapelana UPA, ale i ona, choć urodzona po wojnie w Niemczech zachodnich, wie o zbrodniach banderowców, zasłyszawszy o tym w dzieciństwie od nich samych – w trakcie pijatyki w swoim domu rodzinnym. Pisze autor recenzji: *Z bohaterami powieści przemierzamy Włochy, zatrzymujemy się w Rawennie, Otranto i Metaponto, Katanii i Taorminie, a jednak naprawdę nie opuszczamy płonącego i ociekającego krwią Podola i Wołyńia.* [...]

Odojewski pisze też wiele o rządach i zbrodniach sowieckich na polskich okupowanych ziemiach, ilustruje upodlenie ich ludzi. Oto do zajętego Lwowa zawitał stalinowski pisarz, ekszrabia i krewny Lwa Tołstoja – Aleksy Tołstoj (autor *Piotra I i Drogi przez mękę*). Odwiedzał domy zamożnych lwowian i rekwirował dla siebie obrazy, meble, porcelanę...

Książka do nabycia we wszystkich księgarniach.

📖 Kiedy nie tak dawno (CL 4/99) omawialiśmy książkę poświęconą panu Wojciechowi Dzieduszyckiemu, wyraziliśmy pragnienie, by ukazała się monografia tego całego rodu arystokratycznego, który można uznać za arcy-wschodniomałopolski. Nasze życzenie stało się ciałem: już jest! Co prawda dotyczy tylko jednej, najważniejszej gałęzi, ordynackiej, ale i tak panorama całego

rodu i całej niemal – spokrewnionej z Dzieduszyckimi – arystokracji Polski południowo-wschodniej jest tam zaprezentowana. Książkę (raczej księgę), zatytułowaną **Dzieduszyccy. Dzieje rodu. Linia poturzycko-zarzecka**, napisał **Kazimierz Karolczak** (Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej, Kraków 2000). Nie ma więc w tej pracy mowy o innej linii – jezupolskiej (która od tamtej oddzieliła się na przełomie XVIII/XIX w., choć do końca dzierżyła w swych rękach pierwsze założone przez Dzieduszyckich z początkiem XVI w. miasto – Sokołów. Do tej linii należeli obaj Wojciechowie – słynny kpiarz i jego niemniej słynny w naszych czasach wnuk, pan „Tunio”.

Dzieduszyccy byli kiedyś – za Rusi Czerwonej – szlachtą ruską, ale ich najdawniejsze korzenie wiążą się z Węgrami, Siedmiogrodem lub Wołoszczyzną, stamtąd bowiem również przybywali osadnicy do słabo w średniowieczu zaludnionej Ziemi Czerwieńskiej (szeroko rozumianej). Dowodzi tego siedmiogrodzki herb „Sas”, niezwykle szeroko (i tylko) występujący w pasie wschodniego Podkarpacia. Pieczętowało się nim ok. 80 rodzin szlacheckich, z których Dzieduszyccy zrobili największą karierę. Ich nazwisko, wymienione w dokumentach po raz pierwszy w 1411 r. pochodzi od wsi Dzieduszyce k. Stryja. W okresie ruskim zrutenizowali się, jednak po powrocie tamtej ziemi do Polski, ulegli, podobnie jak inne awansujące rody, polonizacji i katolicyzacji. Powiększając swoje majątki drogą coraz korzystniejszych i lepszych koligacji (m.in. z Czurytami, Stadnickimi, Jabłonowskimi), weszli w XVII w. do rzędu magnaterii.

Rodzina Dzieduszyckich wyróżniła się jednak najbardziej w XIX w., posiadając nie tylko wielkie majątki, ale zyskując – w warunkach zaboru – znaczenie polityczne i kulturalne. Zajmowali wysokie stanowiska nie tylko w Galicji, także w Wiedniu. W 1775 r. otrzymali od cesarzowej Marii Teresy tytuł hrabiowski (jako drudzy w Galicji). Założyli ordynację w Poturzycu k. Sokala, z kluczem poturzyckim i zarzeckim (Zarzecze k. Jarosławia). Założyli Bibliotekę Poturzycką i Muzeum Przyrodnicze we Lwowie, tamże zbudowali pałac przy ul. Kurkowej. Rozrodzili się potężnie, skoligacii szeroko i satysfakcjonująco: z Sapiehami, Czartoryskimi i niemal wszystkimi rodzinami wyższej szlachty

wschodniomałopolskiej (w XVI w. Dzieduszycki ożenił się z Rejówną z Żurawna, siostrą poety Mikołaja). Po II wojnie, tak jak w całej tej warstwie, pojawiły się „skazy”, czasem jednak szczególne – Katarzyna Dzieduszycka wyszła za Zbigniewa Herberta, jednak w tym *mezaliansie* raczej on był górą (piszemy o tym osobno). Swoje talenty rozrodzcie rozprzestrzenili Dzieduszyccy poza Polskę i Europę – świadczą o tym tablice genealogiczne, zamieszczone w książce.

Książka do nabycia we wszystkich księgarniach.

📖 W sierpniu ubiegłego roku przypadła 55. rocznica śmierci Stefana Banacha (1892–1945), genialnego matematyka lwowskiego. Miał lat 30, gdy został profesorem UJK, mimo że nie ukończył studiów na Politechnice Lwowskiej. „Odkryty” przez prof. Hugona Steinhaus, stał się współtwórcą *lwowskiej szkoły matematycznej*.

Prof. **Józef Koziński** napisał książkę pt. **Banach – geniusz ze Lwowa** (Wydawnictwo Akademickie „Żak”, Warszawa 1999). Jest to biografia naukowa i zarazem portret psychologiczny Banacha, a także omówienie osiągnięć jego ucznia Stanisława Ulama, lwowianina, który stał się współtwórcą bomby wodorowej w USA. Przy okazji oma-



Pomnik Stefana Banacha przy ul. Reymonta w Krakowie, odsłonięty w 1999 r. [patrz CL 4/99]

Towarzystwo Akcyjne Browarów. Staw osuszono.

W XX w. Pohulanka stała się publicznym parkiem leśnym, zachowując do dziś ślady dawnego uroku. Na jej temat powstało kilka utworów literackich, m.in. M. Suchorowskiego *Hanusia z Pohulanki*, A. Ładnowskiego *Majówka na Pohulance, czyli miłość i połędwica*. Również F. Jaworski poświęcił jej sentymentalny szkic w książce *Lwów stary i wczorajszy*.

Obecnie Pohulanka jest wokół obudowana blokowiskami mieszkaniowymi.

(A.C.)

WULKA

Obszar nazywany *Wulką*, ograniczał się w ostatnich czasach do niezabudowanego i niezadrzewionego stoku, opadającego na wsch. i płd. ku ulicy Wuleckiej, a także pasa terenu nad tym stokiem. Dawniej jednak dotyczył większego obszaru – płaskowyzu, określanego w XX w. potocznie jako Kadecka Góra, a ograniczonego drogą (potem ulicą) Stryjską. Była tam niegdyś osobna podmiejska wolna osada, założona w XVII w. O jej polskość zaświadcza nazwa (szeroko w Polsce stosowana), pierwotnie zapewne jako *Wólka*.


Górna część Wulki uzyskała od końca XIX w. zabudowę wielkowiejską. W latach 90. na gruntach zwanych Przemiaraki wzniesiono zespół gmachów austriackiej Szkoły Kadeckiej (otwarcie w 1899 r.), w 1920 r. pomieszczono tu zaś polski Korpus Kadetów nr 1. im J. Piłsudskiego (zawieszony tymczasowo w Krakowie na Łobzowie w 1918 r.). Obok, na gruntach należących do rodziny Dylewskich, zbudowano zakład dla sierot, a jeszcze dalej Zakład Wychowawczy z fundacji Abrahamowiczów. W latach 1920. powstał tu II Dom Techników (projekt arch. E. Czerwińskiego). Nieco dalej w kierunku płd. przy ul. Małachowskiego zbudowano kompleks bloków mieszkalnych ZUS.

Na przeciwnym wsch. skraju historycznej Wulki, w szerokim jarze, poprowadzono na przełomie XIX/XX w. ulicę Kadecką, przy której powstał wartościowy architektonicznie zespół kamienic.

wia Kozielecki lwowską szkołę matematyczną, miejsce spotkań matematyków – kawiarnię „Szkocką” – i ich wspólne dzieło „Księgę Szkocką”.

Przed paru laty odsłonięto w Krakowie przy ul. Reymonta pomnik Stefana Banacha – pisaliśmy o tym w CL 4/99, ale dopiero dziś pokazujemy jego zdjęcie.

Książka do nabycia we wszystkich księgarniach.

 Jest już książka, awizowana w CL S/2000: **Dziecko ze Lwowa** (tytuł oryginału holenderskiego: *Kind in Polen*) **Milo Anstadta** (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2000). Autor jako dziecko w 1930 r. wyjechał z rodzicami do Holandii, tam ukończył studia i stał się Holendrem. Pracował jako dziennikarz i publicysta w prasie, radiu i telewizji, wydał kilkanaście książek, nagrywał filmy dokumentalne.

Pochodzi z rodziny żydowskiej, ale związanej z polskością – co opisuje w swoich wspomnieniach z lat 20. Daje tam ciekawy – wydaje się, że obiektywny, bo pozbawiony niechęci i napastliwości – obraz życia Żydów w Polsce, we Lwowie, obraz rodziny dążącej do narodowej asymilacji przy zachowaniu własnej religii.

Wielokrotnie odwiedzał Polskę w latach powojennych, wydał o niej książkę, pisał reportaże, nakręcił film. Warto zacytować początek rozdziału II pt. *Dysonanse*:

Miejsce urodzenia: Lwów.

Państwo:...


Zawsze wypełniając formularz waham się przy wyborze odpowiedzi na to pytanie. Polska? Ukraina? Rosja?

Gdy się urodziłem, Lwów leżał w Polsce. Teraz leży na Ukrainie. Bez wnikania w formalną słuszność odpowiedzi za każdym razem wpisuję: Lwów / Polska. I robię to, choć mogłem przekonać się, że Lwów nie jest już polskim miastem. Kiedy po czterdziestoletniej nieobecności nadarzyła mi się okazja odwiedzenia mojego rodzinnego miasta, chodziłem po nim jak ktoś, kto nagle obudził się w innej epoce. znałem ulice, budynki, parki. Moja szkoła stała nienaruszona, jakbym wyszedł z niej nie dalej jak wczoraj. Wojna, spustoszenie, mordy i zamachy pozostawiły w nienaruszonym stanie masywną kamienicę, w której się urodziłem. Nie zmieniło się nic poza tym, że

mieszkali w niej inni lokatorzy. Wszyscy ludzie, których znałem, zniknęli; co do jednego. Polacy przenieśli się na zachód. Pół miliona ludzi obecnie zamieszkujących miasto przybyło tu z bezkresnych ukraińskich stepów. Ukraińcy odziedziczyli kamienie Lwowa pozbawione człowieczej historii. Ich miasto powstało, nim tu przyszli, oni władają jedynie jego teraźniejszością. Gruntowne zerwanie z przeszłością. Nie tylko nie istnieje żadne pokrewieństwo między obecnymi a ówczesnymi mieszkańcami, ale też ci nowi imigranci mówią innym językiem, używają innego pisma: cyrylicy, a ulicom nadają nowe nazwy wywodzące się z ukraińskiej i rosyjskiej historii. [...]

Książkę Anstadta trzeba też wysoko ocenić pod względem literackim. Część zaśluzgi należy się niewątpliwie tłumaczce, Małgorzacie Zdzienickiej, której – chyba nie związanej z tradycją lwowską – trzeba wytknąć parę potknięć, drobnych, lecz dla lwowianina denerwujących. Należą do nich *tata*, kiedy we Lwowie mówiło się *t a t o*, (*tata* to typowy warszawizm). Rzeczka nazywa się *Peltew*, a nie *Połtwa*. Ukraińcy nie byli prawosławni, lecz grekokatolicy (może to błąd słownikowy autora?). W dość ciekawym ustępie (str. 113), który brzmi: *W latach 1918–1919 polscy żołnierze przeprowadzili pogromy w wielu wsiach i miastach. To było jednak nic w porównaniu z rzezią, jaką urządzili barbarzyńscy Ukraińcy na terenach Galicji. Tam bandy pod dowództwem Petrułi polowały wszędzie na „krzywe nosy”, podrynąjąc gardła 70 000 Żydów, którzy wpadli w ich ręce. [...]* – tłumaczka powinna była poprawić nazwisko *Petruła* na *P e t l u r a*.

Książka do nabycia we wszystkich księgarniach.

 **Dr Tadeusz Kukiz** wydał czwartą książkę o obrazach Maryjnych, przewiezionych po II wojnie światowej z Ziemi Wschodnich na teren Polski powojennej. Trzy pierwsze tomiki dotyczyły obrazów umieszczonych na Górnym i Dolnym Śląsku – jest ich tam najwięcej. Nowy tom to **Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w diecezjach Polski (poza Śląskiem)**.

Ale to dopiero część pierwsza; druga (a może i dalsze?) w przygotowaniu. Mamy więc teraz metropolię przemyską (diecezje przemyska, zamojsko-lubaczowska i rze-




Tadeusz Kukiz
Madonny Kresowe

szowska) oraz metropolię krakowską (diecezja krakowska, tarnowska i bielsko-żywiecka), razem 35 obrazów opisanych na ponad 300 stronach z licznymi ilustracjami.

Podziw budzi kompleksowość opracowań. Autor omawia sam obraz, jego historię, pochodzenie, przemieszczenia, dzieje kultu, a także kopie i literaturę. Opisuje dawne i nowe miejsca pobytu obrazów – świątynie, opiekunów, społeczności wiernych. Zadziwia erudycja autora, który ogrom informacji zebrał, uporządkował i przekazał pięknym językiem (na to też warto zwrócić uwagę).

Książka do otrzymania w księgarniach katolickich.

 Tu tylko dla porządku rejestrujemy omówiony w CL 4/2000 **Słownik biograficzny wychowanków Zakładu Naukowo-Wychowawczego OO. Jezuitów w Chyrowie, 1886–1939**, opracowany przez **Ludwika Grzebienia, Jerzego Kochanowicza i Jana Niemca** (Wydawnictwo WAM i WSF-P „Ignatianum”, Kraków 2000).

Doliną między Wulką a Kastelówką (po stronie zachodniej, zob. CL 2/99), wzdłuż potoku Wuleckiego (zob. Lwów) biegnie ul. Wulecka, dawna droga łącząca Lwów z Sokolnikami (zob. CL 4/99). W widłach ulic Wuleckiej i Kaddeckiej, u podnóża Wulki powstała remiza i warsztaty tramwajowe (czynne do dziś), a nieco wyżej istniał stawek, tzw. „Morskie Oko”, a przy nim działał zakład kąpielowy. Dalej, na niezabudowanym stoku Wulki, znajduje się miejsce rozstrzelania przez Niemców (przy udziale nacjonalistów ukraińskich) w lipcu 1941 r. profesorów uczelni lwowskich. Wcześniej byli przetrzymywani w Zakładzie Abrahamowiczów powyżej. W miejscu kaźni stoi dziś krzyż z tablicą pamiątkową. Wzniesienie tu pomnika nie doszło dotąd do skutku.

Droga Wulecka obejmuje łukiem Wulkę, a następnie – za kąpieliskiem „Świtez” – odbija na płd. ku *sztrece* (linii kolejowej na Stanisławów). W miejscu tego odbicia zaczynało się *Corso*, dochodzące łagodną serpentyną do ul. Stryjskiej – fragment alei-obwodnicy, która w myśl projektu prof. arch. J. Zachariewicza miała otoczyć całe miasto. Wykonano jednak tylko ten odcinek i odcinek za ul. Stryjską, na tyłach Parku Stryjskiego i Placu Powstawowego, do ul. Ponińskiego. Dziś tych odcinków nie ma – zamiast tego pierwszego jest wyprostowana ulica, a stare drzewa wycięto.

Stoki Wulki zostały po II wojnie zalesione, a ponad nimi powstały dalsze domy akademickie.

(A.C.)

Literatura:

Witold Szolginia, *Tamten Lwów*, t.1. *Oblicze miasta*. Wrocław 1992.

Franciszek Jaworski, *Lwów stary i wczorajszy*. Lwów 1910.


Franciszek Barański, *Przewodnik po Lwowie*. Lwów 1902.

Jan Gieryński, *Lwów nie znany*. Lwów 1938.

Fryderyk Papee, *Historia miasta Lwowa w zarysie*. Lwów–Warszawa 1924.

O konwikkie chyrowskim mieliśmy dotąd jedynie małą książeczkę – wspomnienia wychowanka **Karola Lewickiego** pt. *Chyrowskie popioły* (wyd. Wrocławska Księgarnia Archidiecezjalna, Wrocław 1989).

Słownik dostępny w księgarniach naukowych. Druga pozycja zapewne dawno wyczerpana.


 Istnieje u nas wielkie zainteresowanie Ormianami polskimi, którzy przybywali na nasze ziemie z południowego wschodu i choć nie należeli do najliczniejszych nacji żyjących z nami od średniowiecza (obok Rusinów, Żydów i Niemców), wywarli niemały wpływ na oblicze kulturalno-artystyczne i gospodarcze Małopolski Wschodniej. Choć w gruntownie zmienionych miejscach i warunkach życia, są wśród nas nadal, próbują ożywić swoją tożsamość religijną i kulturową, by zapobiec, a przynajmniej oddalić widmo roztopienia się w bezkształtnej masie dzisiejszej Polski (i co gorsze: całej Europy).

Historia i dzień dzisiejszy tej niezwyklej nacji przybliży nam długo oczekiwana książka **Krzysztofa Stopki: Ormianie w Polsce dawnej i dzisiejszej** (wyd. Księgarnia Akademicka, Kraków 2000).

W książce naturalnie wiele o Lwowie, który był głównym ośrodkiem narodowo-religijnym polskich Ormian, siedzibą metropolity przy niezwyklej katedrze – unikalnej świątyni ormiańskiej w skali całej Europy. Lwów był czołowym miejscem aktywności gospodarczej i kulturalnej Ormian; w jego orbicie działały takie ośrodki jak Kamieniec Podolski, Zamość, Buczacz, Jazłowiec, Kuty.

Poza głównym ciągiem narracji, autor zamieścił w książce sporo wyjaśnień o charakterze encyklopedycznym: język, imiona i nazwiska, prawo, wyjaśnienia historyczne i obyczajowe, specjalne pojęcia, biogramy, ciekawostki. Dzieje i kulturę Ormian polskich autor poprzedził wykładem historii Armenii i Ormian w szerokiej skali. Na końcu książki znalazło się kalendarium ponad dwóch i pół tysiąca lat ormiańskiej historii oraz ilustracje.

Książka do nabycia we wszystkich księgarniach.

 Książka, o której tu piszemy, różni się zasadniczo od tych, które zazwyczaj omawiamy. Owszem, dotyczy Lwowa, ale Lwowa nie naszego – obcego miasta, które nosi tylko podobną nazwę.

Autorka nazywa się Aleksandra Matiuchina (nadgorliwi tłumacze napisali: *Matyuchina*. Paranoja!) i jest Rosjanką (45 lat), mieszkającą od swego dzieciństwa we Lwowie. Jest historyczką i etnologą, ale praca ma charakter socjologiczny. Tytuł książki: **W sowieckim Lwowie. Życie codzienne miasta w latach 1944–1990** (Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2000).

Matiuchina (jej artykuły pojawiały się w krakowskim kwartalniku „Arcana” – wspominaliśmy o nich) przekazuje obraz nowej społeczności Lwowa, osiadłej po usunięciu z miasta większości jego prawowitych mieszkańców – Polaków i napływie nowych – zbieraniny z całego obszaru ZSRR, wsi wschodniomałopolskiej nie wyłączając. Temat ten omawia pierwszy rozdział pracy: *Ludność Lwowa po II wojnie światowej. Zmiany w miejskiej kulturze*. Dwa następne rozdziały mają tylko z pozoru „lekki” charakter: II. *Święta i obrzędy lwowian w drugiej połowie XX wieku* oraz III. *Jak ubierali się mieszkańcy Lwowa*. W istocie rozdziały te przynoszą mnóstwo informacji o obyczajowości integrującej się z wielkim trudem (i do dziś bezskutecznie) nowej społeczności. Wiele tam odniesień do czasów przedwojennych, polskich.

Wreszcie dla nas najciekawszy rozdział IV: *Mit Polski w sowieckim Lwowie*. Dużo trafnych fragmentów warto by zacytować, ale brak miejsca nam na to nie pozwala. Poprzestańmy na jednym:

[...] popularne określenie „za Polski” staje się w ustach lwowian synonimem wysublimowanej kultury, dobrego smaku i gatunku, słowem: europejskości, której brak wyczuwa się na każdym kroku. Termin, że coś jest „polskie”, faktycznie począł oznaczać we Lwowie tyle co „europejskie”, a zarazem „wolne”. Co najmniej ci spośród przybyszów z głębi Związku Sowieckiego, którzy zdolni byli do jakiegokolwiek refleksji, spostrzegli od razu, że Lwów jest znacznie piękniejszy od innych miast sowieckich. Prędzej czy później właśnie to miasto utrwalało w ich świadomości pochlebny obraz Polski i jej kultury. Natomiast w ustach rdzennej ludności Lwowa zwrot „za Polski” wyrażał językiem Ezopa niezadowolenie z totalitarnych realiów życia sowieckiej współczesności, z którą porównywano ową polską przeszłość. [...]

Tak było jednak do roku 1990. Potem się zmieniło, gdy do głosu doszli Szkile,

Hniłki, Hawryszkiewicz. Ale i oni przemianą. Mamy już tego pierwsze oznaki.

Książka dostępna w większych księgarniach.

📖 Śląskie Wydawnictwo „Adan” (Wrocław 2000) zaprezentowało nam na koniec roku i wieku album pt. **Lwów na dawnej kartce pocztowej 1896–1939**. Na 90 stronach dość luksusowego tomu (papier kredowy, format A4) pokazano prawie 200 starych widokówek, ułożonych w 8 cykli i uzupełnionych interesującymi i pouczającymi tekstami: prof. Stanisława S. Niciei, Wojciecha Dzieduszyckiego i dr Danuty Nespiak, oraz doskonałymi opisami obiektów, opracowanymi przez Andrzeja Fiksę.

Doceniając koncepcję i redakcję wartościowego albumu – jej autorką jest **Danuta Emmerling** – trzeba zwrócić uwagę, że wszystkie dobre słowa nie odnoszą się do strony graficznej albumu. Jest w niej jakaś przesadna maniera, na którą zwróciliśmy również uwagę w książce o W. Dzieduszyckim.

Album dostępny w większych księgarniach.

Kazimierz Selda

Wertując wydawnictwa

➡ Dwóch znakomitych, naprawdę dowcipnych *krakusów* (co prawda jeden podaje się za nowosądeckanina) wydało zabawnie ujęte, ale szalenie ciekawe i naszpikowane informacjami tomisko pt. **Austriackie gadanie, czyli Encyklopedia galicyjska** (wyd. „Anabasis, Kraków 2000). Autorzy to **Mieczysław Czuma**, wieloletni redaktor „Przekroju”, oraz **Leszek Mazan**, kiedyś figura w ambasadzie polskiej w Pradze i z tego tytułu czołowy *szwejkolog* krajowy.

Skoro Galicja, to oczywiście także – Lwów i cała Małopolska Wschodnia. W tomiku, wymiarowo niewielkim, ale grubym (prawie 600 stron), znalazło się nieco hasel o tamtej części Galicji-Małopolski, jednak ich ilość jest niewspółmiernie mała wobec *cracovianów*. Autorzy lojalnie uprzedzają na wstępie: [...] *Nasza krakowsko-nowosądecka para ma pełną świadomość tego, że o wiele za mało jest na tych stronicach niepowtarzalnych zapachów stołecznego Lwowa. Usprawiedliwić to należy zachodniogalicyskim rodowodem autorów i wszystki-*



Z książki *Austriackie gadanie* M. Czumi i L. Mazana: cesarz Franciszek Józef w Krysowicach (między Mościskami i Strzelczyskami). Obraz Juliusza Kossaka, 1881. Po lewej nieistniejący już pałac hr. Stadnickich, po prawej budynek bramny z kaplicą pałacową na piętrze, zamieniony w ostatnich latach na kościół i rozbudowany (patrz zdjęcie w CL 3–4/95). Proboszczem jest tu ks. Andrzej Rams.

mi meandrami nie zawsze dla naszych zbiorowych losów łaskawej historii. [...] Mimo tego wyjaśnienia czujemy się nieco zawiedzeni, bo jak ma być Galicja, to powinna być cała – po równo! A może będzie drugi tom?

Poszukajmy przeto tych niezbyt licznych *leopolitanów*. Zacznijmy od litery „L” – Lwów, o którym autorzy piszą tak ładnie, że poza samymi lwowiakami nikt tak napisać nie potrafi (może i nie chce?). Tekst tego hasła przytaczamy dalej w ramce.

Obaj autorzy są kibicami krakowskich klubów, ale o „Czarnych” i „Pogoni” piszą sprawiedliwie: to pierwsze i znakomite polskie kluby sportowe. Także o pierwszej bramce w dziejach piłki nożnej na ziemiach polskich: chłopcy z lwowskiego „Sokoła” strzelili ją krakowianom w 1894 roku. Jest też o samym „Sokole” i o rajdzie samochodowym Lwów–Kraków.

Wśród hasel znajdujemy ładne omówienie Łyczakowa. Ale dalej raczej niedosyt. Są krakowskie andrusy, ale o batiarach wspomniano tylko w hasle *Łyczaków*. Jest więzienie św. Michała w Krakowie, ale o sławniejszych „Brygidkach” ani słowa. W hasle *Cmentarze żołnierskie* zapomniano o Orłętach. Gdy mowa o *rafineriach galicyjskich*, nie padają nazwy Drohobycza i Borysławia. Jest Tarnów, Bochnia, Jasło, ale nie ma Tarnopola lub Stanisławowa. Dobrze, że pisząc o Dukli, wspomniano o św. Janie, patronie Lwowa.

LWÓW, miasto położone na skrzyżowaniu ras, kultur, religii i tradycji, na przecięciu najważniejszych szlaków pomiędzy wschodem i zachodem, północą i południem. Przez Lwów przebiega główny europejski dział wodny. Józef Wittlin pisze o pewnym domu na Kortumówce, jako o budynku szczególnym. Kiedy świeciło słońce, nie różnił się niczym od innych, ale najmniejszy nawet deszczyk objawiał jego niezwykłe położenie. Woda z jednej połowy dachu spływała bowiem do Bałtyku, z drugiej zaś podążała do Morza Czarnego. Okolice dworca kolejowego położone są w zlewisku Dniestru, zaś pozostałe dzielnice znajdują się w dorzeczu Wisły. To szczególne położenie sprawiło, że i tutejsza ludność stanowiła bogatą mieszkankę kulturową. Obok Polaków przez długie wieki żyli tu Rusini, Niemcy, Żydzi, Ormianie. Ten bogaty stop stworzył niepowtarzalne oblicze tego miejsca, które przez długie wieki swą wierność Rzeczypospolitej przypieczętowało wymownymi słowami: *semper fidelis*.

Lwów był pierwszym z dużych polskich miast, jakie znalazły się pod rządami zaborcy. Cesarz Józef II i jego następcy prowadzili na zagrabionej ziemi brutalną politykę germanizacyjną. Szczególnie zdecydowanie czynili to właśnie tu, w administracyjnym centrum nowej prowincji. Tu pracowała posłuszna wiedeńskiej centrali armia obcych biurokratów, tu miał swoją siedzibę niemieckojęzyczny teatr i uniwersytet. Zapamiętałe niszczono wszelkie rodzime tradycje samorządowe, germanizowano szkolnictwo powszechne, skrupulatnie wypełniali

swoje powinności cenzorzy. System podatkowy (52 kategorie najróżnorodniejszych obowiązkowych opłat) ograniczał rozwój handlu, rzemiosła i przemysłu, skazując miasto na całkowitą, niemal kolonialną zależność od Wiednia.

Lwów nie poddawał się. Rozkwitał talent Aleksandra Fredry, Józef Maksymilian Ossoliński ufundował (1827) najbogatszą w kraju bibliotekę. Masowo wspomagano powstanie listopadowe, a w latach 1832–1848 Lwów był centrum polskiej konspiracji niepodległościowej. Utworzenie sejmu galicyjskiego (1861), nadanie autonomii całej prowincji (lata 1866–1868) i rezygnacja z polityki germanizacyjnej wpłynęły w sposób decydujący na dynamiczny rozkwit miasta. Wyrastały liczne okazałe gmachy publiczne, ożywił się przemysł, rozwijało się szkolnictwo elementarne i wyższe. Silnie manifestował się patriotyzm. Dla upamiętnienia trzechsetnej rocznicy zawarcia Unii Lubelskiej usypano (1869) symboliczny kopiec, stulecie zwycięstwa pod Raclawicami uczczono zaś (1894) otwarciem słynnej panoramy. Miasto stało się ważnym centrum polskiego życia umysłowego, sztuki i kultury. Ćwiczeni w systemie parlamentaryzmu europejskiego politycy mieli zostać w krótkie kadry odrodzonego, niepodległego państwa. W 1910 r. liczba mieszkańców Lwowa przekroczyła 200 tys. Miasto było w monarchii piąte co do wielkości – po Wiedniu, Budapeszcie, Pradze i Trieście.

M. Czuma, L. Mazan: *Austriackie gadanie, czyli Encyklopedia galicyjska*, s. 262–265.

Z innych dziedzin możemy przeczytać o *fujarce z Mościsk*, o Światowidzie ze Zbrucza, o lwowskich arsenalach i zegarze z bernardyńskiej wieży, o państwie Dulskich i o „Cipci” – anonimowej opiekunce więźniów politycznych we Lwowie (za austriackich czasów, oczywiście). Trzeba przeczytać o Samborze, o *patencie okupacyjnym* Marii Teresy z roku 1772 i o paru wybitnych lwowianach, z Dawidem Abrahamowiczem na czele. Wspomina się też kilka lwowskich piosenek.

Encyklopedia Galicyjska jest więc dość swobodnym, autorskim zestawem haseł, dobranych wedle preferencji autorów. Szkoda jednak tamtej „większej połowy”, bo warto było przybliżyć także wschodniogalicyskie nazwy, nazwiska, anegdoty. Przecież to niewyzyskana kopalnia!

➡ **Krakowski „Dziennik Polski”**, zawsze sporo i sprawiedliwie piszący o Lwowie, ostatnio stał się jeszcze bardziej otwarty na sprawy nam bliskie. Wiadomości i artykuły ze Lwowa pojawiają się często, a niemal z reguły sygnalizowane są na pierwszej stronie kolorowym zdjęciem. W nrach 268/2000 i 10/01 znaleźliśmy dwa artykuły red. Wandy Trojan: *To jest moje miasto* i *Za granicą moja rodzina*, oba o tragicznej sytuacji materialnej Polaków, zwłaszcza osób starych, chorych i opuszczonych. Tej samej autorki w DP 274/2000 o lwowskich oddziałach przedszkolnych: *Pierwszy był słońceznik*, a w 268/2000 rozmowa z lwowianinem K. Rumińskim o Cmentarzu Orłąt, pt. *Każdy ma swoją kwatere*.

➔ W „Przewodniku Katolickim” 42/2000 znaleźliśmy artykuł pt. *Zdrastuj Papa (Jędrzeja Majki) o spodziewanej wizycie Ojca Św. w państwie Ukraina*. Autor przedstawia wyczytane relacje i opinie o wydarzeniach na linii *władze Ukrainy – Cerkiew prawosławna – Cerkiew greckokatolicka*. W całym tytule ani razu **nie wspomina się o rzymskich katolikach** (tym bardziej o Polakach) – jakby nie istnieli. Odnosi się wrażenie, że p. Majka niemal żywcem przepisuje teksty ukraińskie, nie mając od siebie nic do powiedzenia (na łamach pisma bądź co bądź rzymskokatolickiego i polskiego). O jego totalnej ignorancji świadczą użyte imiona własne: nuncjusz Eterović (narodowości chorwackiej), to u niego Eterowycz (!), *Nadwirna* zamiast *Nadwórna* itd. Pogratulować poziomu.

➔ Niejednokrotnie odnotowujemy teksty z dodatku „Rzeczypospolitej” pt. „+Plus-Minus” (zwanego popularnie *różowymi kartkami*). Ostatnio zainteresowała nas tam cała seria publikacji.

W nrze 281/2000 Andrzej Wat, syn Aleksandra, autora *Mojego wieku*, opowiada o swojej niedawnej **wizycie we Lwowie**, przypomina sobie miasto i wywózkę w roku 1940. Fotografując pałac Bielskich przy ul. Kopernika, gdzie *wtedy* był sowiecki związek literatów, spotkał znanego nam dobrze Walerego Bortiakowa z Polskiego Teatru Ludowego. Pisz o nim: *Urodzony na Syberii, rdzenny Rosjanin, trafił po wojnie razem z rodzicami do Lwowa. I, jak mi powiedział w krótkiej rozmowie, sam nauczył się polskiego, zainteresował się polskim teatrem, polską kulturą i historią. Żyjąc we Lwowie nie miał innego wyboru. Dodał, że działa tu jakaś wyjątkowa aura, wyjątkowy klimat. Stwierdził: „Tu mogłem być tylko Polakiem”*.

W tym samym numerze literat gdański Stefan Chwin pisze o **wielokulturowości** w Polsce dawniej i – w przyszłości. *W dawnej Polsce, w której mniejszości narodowe stanowiły w pewnych okresach do 30 proc. ogółu ludności, „kulturą wiodącą” była z pewnością kultura polska, lecz wcale nie musiało to oznaczać rasistowskiej dominacji. Polskość dominowała, ale była to polskość wielu barw. I nieco dalej: Mówię to też moim studentom w Polsce: – Nie brońcie się przed obcymi, starajcie się, by pol-*

ska kultura mogła ich zafascynować. Może wtedy wejdą w nią głębiej.

W nrze 293/2000 Jan St. Witkiewicz opowiada o obrazie podobno **Rafaela**, który znajdował się w zbiorach rodziny Cieńskich w Oknie (woj. tarnopolskie) Przy okazji opisuje cenne zbiory z tego pałacu, dziś rozparcelowane – we Lwowie, Wrocławiu – lub rozproszone.

Denerwującą publikacją jest rozmowa K. Mastonia z mało nam znanym prof. Tomaszem Szarotą pt. *Wstyd domowy* (nr 283/2000). Tydzień wcześniej tak reklamowano tę wypowiedź: *Wśród tych, którzy najpierw stanęli obok Niemców w dziele prześladowania Żydów, a potem przyczynili się do realizacji holokaustu, byli nie wyłącznie Polacy, ale i Francuzi, Holendrzy, Belgowie, nie mówiąc o Ukraińcach czy Litwinach*. Podejrzewamy, że profesor chce jakoś *zaistnieć*, skoro porywa się na tak żenująco **provokacyjne porównania**. A w rozmowie padają takie zdania: *Sądzę, że moja książka wyraźnie ukazuje różnice pomiędzy ekscesami antysemickimi, które odbywały się w okupowanej Europie od 1939 roku do czerwca 1941 r., a tym, co działo się po czerwcu 1941 r. na terenach naszych byłych Kresów Wschodnich, w państwach bałtyckich, na Ukrainie, Białorusi itd. Tamte wydarzenia nazwałem zajściami, tutaj ewidentnie słuszna jest nazwa – pogromy. Uprzednio w okupowanej przez Niemców Europie Zachodniej i Generalnym Gubernatorstwie miejscowa ludność znęcała się nad Żydami (tak pisze pan profesor! – przyp. red.), bito ich, ale nie zabijano i jeśli nawet były wypadki śmiertelne, to trudno mówić o masowych mordach. To natomiast, co stało się po czerwcu 1941 r. na terenach wtedy zajętych przez III Rzeszę, było autentyczną eksterminacją fizyczną Żydów, w której pierwszym etapie, obok Niemców, brała udział miejscowa ludność. Różne były tego przyczyny; na pewno na taką postawę wywierała wpływ okupacja sowiecka w latach 1939–1941. [...] Powstaje pytanie, dlaczego profesor nie powie, o jaką to miejscową ludność chodzi, bo przecież nie o Polaków, choćby z tego powodu, że Polacy sami byli w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ale młody europejczyk, ignorant (w tych sprawach) wychowany na „Gazecie Wyborczej” może wyciągać nader opaczne wnioski.*

Słyszymy potem te brednie w wypowiedziach niektórych młodych polityków, działaczy, publicystów itp.

➔ „Nasze Słowo”, ukraińskie pismo wychodzące w RP (już parę razy mieliśmy wątpliwą przyjemność je cytować) z ogromną satysfakcją przedrukowało (w oryginalnej wersji polskojęzycznej) artykuł niejakiego Andrzeja Talagi, opublikowany w „Nowym Państwie” 47/2000. Autor relacjonuje sesję seminarium z listopada 2000 r. (organizowanego od 6 lat) pt. *Stosunki polsko-ukraińskie w latach II wojny światowej*. Czytając ten **żenujący tekst** rozumie się skwapliwość redakcji NS – nacjonalista ukraiński nie napisałby tego lepiej. W relacji autora Polacy atakują, Ukraińcy są rozgoryczeni. Żeby było obiektywnie, uważa że w sesjach powinni brać udział weterani UPA, skoro są tam AK-owcy (którzy bronią akcji „Wisła”). Udokumentowaną prawdę o obozie w Jaworznie, przedstawianą przez polskich uczestników sesji, a niezgodną z rozdmuchaną wersją ukraińską – wyszydza. ltd., itd.

Artykuł nosi tytuł *Polak–Ukraińiec żadne bratanki*. A kto tak myślał?

➔ Ukazało się bardzo potrzebne wydawnictwo – dla tych, którzy poszukują kontaktów z organizacjami polskimi za wschodnim kordonem. Towarzystwo Naukowe Polska–Wschód wydało informator *Polacy na Ukrainie dzisiaj. Cz. I: Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie* (Warszawa 2000). Książeczka zawiera nie tylko nazwy i adresy organizacji, ich liczebność, nazwiska prezesów itp., lecz również istniejące na ich terenie placówki kulturalno-oświatowe, a nawet ich szczególne dokonania. Autorem informatora jest Włodzimierz Osadczy.

➔ W wydawanych przez siebie „Informacjach” (patrz CL 4/96) prof. Jerzy Kowalczyk kontynuuje cykl *Relacje, wspomnienia, biogramy* profesorów i uczniów XI Gimnazjum im. Śniadeckich we Lwowie. Cały numer 69 (2000 r.) poświęcony jest prof. Rudolfowi Wackowi, pedagogowi, sportowcowi i publicyście, postaci dla lwowian niemal legendarnej.

REFLEKSJA NA SZEŚĆDZIESIĘCIOLECIE

(ciąg dalszy ze s. 36)

harcerstwo ciekawym, pouczającym i pożytecznym. O ile dobrze pamiętam, tylko ta drużyna nosiła we Lwowie prawdziwe kapełuszki skautowskie, takie jak Baden Powell, jednakże z jednej strony podjęte, tak jak to było na początku harcerstwa w Polsce.

Ze względu na miejsce zamieszkania Jasia Wiktora ul. Snopkowska była terenem naszych działań pozaszkolnych, gdzie stykaliśmy się z kolegami z tej samej klasy oraz innymi, czasem nieco starszymi, którzy się jakoś o naszą gromadę ocierali. Bardzo dobrze wspominam Tolka Gluzińskiego, późniejszego trenera narciarskiego i poetę, zmarłego na zawał w Zakopanem. Znałem także jego starszego brata, także bardzo miłego i ustatkowanego, a także niejakiego Madurowicza, syna mojego nauczyciela języka ruskiego w Ćwiczeniówce. Pamiętam także niejakiego Biesiadeckiego, Idzikowskiego zwanego „Tuptusiem” oraz Kuchara, z tej znanej, sportowej rodziny. Grupa nasza była raczej poważna, o intelektualnym zacięciu. Na pewno była to w dużej mierze zasługa naszych pedagogów z VIII „budy”.

Późną wiosną 1941 r. można było zaobserwować, a raczej usłyszeć, długotrwałe, nocne przemieszczania sowieckich czołgów. Równocześnie pojawiły się komunikaty TASS, czyli oficjalnej sowieckiej agencji informacyjnej, dementujące pogłoski o rzekomych ruchach wojsk sowieckich na terenie dosyć bliskim granicy z Niemcami. Była to oczywiście bujda, jako że przez dłuższy czas nocne przemarsze i przejazdy po ul. Stryjskiej były tego ewidentnym zaprzeczeniem.

Wydaje mi się, że świadectwa szkolne otrzymaliśmy wówczas nieco wcześniej i być może z tego powodu nie były one sporządzone na urzędowym, nędznym formularzu, tak jak miało to miejsce w roku ubiegłym. Tym razem każdy z nas musiał według wzoru sporządzić odręcznie formularz na papierze kratkowanym i, rzecz charakterystyczna, że wypełnialiśmy go w języku polskim, a noty wpisał ktoś z naszych pe-

dagogów, chyba jeszcze prof. J. Zakrzewski, także po polsku. Poprzedni formularz był sporządzony w języku ukraińskim i w takim też zostały naniesione noty. Tamten podpisał dyrektor A. Hodbod, ten ostatni zaś już sowiecka dyrektorka Menis.

22 czerwca '41, będąc rano u Jasia Wiktora, dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Ogarnęła nas olbrzymia radość, wiedzieliśmy bowiem, że teraz to już musi się coś stać dla nas istotnego. Mniej zachwyceni byliśmy, gdy premier brytyjski W. Churchill zapowiedział w tym dniu, że wróg Niemiec staje się automatycznie brytyjskim sojusznikiem.

Potem przyszły niemieckie naloty, a wreszcie ostrzał artyleryjski. W pewnym momencie wystąpiła wśród bolszewików panika i całe rodziny, ulokowane na autach wypełnionych piernatami i tobołami, kierowały się ku ul. Łyczakowskiej, zwanej potem z tego powodu „ulica Dawaj nazad”. Niemiłym zjawiskiem był rabunek magazynów i sklepów, dokonywany przez rozwyrzony tłum, kiedy to przez kilka godzin, wśród dymów pochodzących ze zbombardowanych domów, nastąpiła złowroga cisza. Na drugi dzień wojska niemieckie wkroczyły bez walki do Lwowa i około godziny 10 widziałem już ku memu zdziwieniu kolumnę stosownie ubranych Niemców, oczywiście wojskowych, idącą na kąpielisko „Świżeż”, by się wykapać. Wyglądało to wręcz beztrąsko, a tymczasem w mieście działały się przerażające sceny, kiedy to lwowiaczy poszukiwali swych bliskich we wszystkich więzieniach. Po prostu przed ucieczką ze Lwowa NKWD wymordowało w sposób bestialski setki więźniów. Taki był widocznie rozkaz, albowiem to samo działo się w dalej na wschód położonych miastach, jak Złoczów, Tarnopol i chyba jeszcze dalej ku Ukrainie.

Tak to przed 60 laty zakończył się sowiecki pobyt we Lwowie, rozpoczęty w pamiętnym, tragicznym wrześniu 1939 roku.

Kraków, w maju 1998

* *Corso* – przedwojenny zwyczaj wieczornych spotkań towarzyskich i spacerów młodzieży lwowskiej wzdłuż ulicy Akademickiej.

** *Anna Pauker, młoda nauczycielka rumuńska* – należała do czołowych, najbardziej zniechęconych działaczy epoki stalinowskiej w Rumunii.

*** *Był dzień, jak każdy jesienny, pochmurny. Drzewa się otwierają i wtedy wchodzisz ty...*

Rozmowa z Marią Iwanową

(ciąg dalszy ze s. 25)

rzeczy odbija się na wiadomościach uczniów. Prawdopodobnie w najbliższej przyszłości liczby te będą jeszcze mniejsze. Jest to przerażające. Niemożliwe jest nauczyć ucznia poprawnie pisać, poprawnie się wypowiadać, jeżeli godzin będzie coraz mniej. Nie lepiej jest z literaturą. Program liceum musimy wyłożyć w ciągu trzech lat. Z tego też powodu wielu autorów i wiele zagadnień literackich pomijamy.

Dlaczego o tym mówię? Z ramienia Ministerstwa Oświaty Ukrainy zaproponowano mi przeprowadzenie korekty programów. Martwi też perspektywa integracji literatury polskiej i literatury powszechnej. Uszczupli to jeszcze bardziej wiadomości uczniów z literatury polskiej.

Jaka jest Pani zdaniem droga do rozwoju nauczania języka polskiego na Ukrainie?

Zgodnie ze statystyką ukazującą się w prasie polskiej na Ukrainie, rośnie ilość uczniów uczących się po polsku. Ale niestety, jedno jest pewne – nauczanie to nie zapewnia trwałych i mocnych wiadomości, chociaż uczniowie w szkołach sobotnich, czy też na kursach uczą się po kilka lat i mają sporo lekcji języka (3–4 lekcje). Zdałoby się, że wiadomości powinny być wysokie. I tutaj takie dziwne zjawisko: w olimpiadzie języka polskiego bierze udział młodzież, która nie uczęszcza do tych szkół, a która uczy się półprywatnie na kursach czy indywidualnie. Jako juror olimpiad w rozmowach z młodymi dowiaduję się, że uczą się języka przez dwa lata. I dają sobie radę! A gdyby ta młodzież uczyła się języka przez 8–9 lat – wiadomości byłyby o wiele głębsze. Smutne jest to, że w olimpiadach nie uczestniczy młodzież, która chodzi do szkół sobotnich. A nam zależy, żeby olimpiady się rozrastały!

Nauka polskiego w niektórych regionach jest obecnie bardzo popularna. Na tę popularność składają się różne imprezy, odbywające się w Kraju – *poloniady, parafiady* itp. Są one pomocne w popularyzacji języ-

ka polskiego, a także, miejmy nadzieję, w powrotach do korzeni. Oby tylko nie rozszerzała się tendencja do udawania Polaków dla korzyści materialnych, czy też robienia kariery poza granicami tego państwa, licząc na wspaniałomyślność Polaków w Kraju. Uczciwość jest tu niezbędna.

W okresie ostatnich dziesięciu lat na terenie całej Ukrainy zaczęły powstawać ośrodki nauczania języka polskiego przy parafiach, fakultatywne nauczanie w szkołach ukraińskich, sobotnie szkoły, kursy. Jeśli na początku zjawisko to budziło ogromne nadzieje w społeczeństwie polskim, dziś budzi obawy, bowiem z tych czy innych powodów zanikają punkty zajęć fakultatywnych oraz kursów. I tu jest zadanie dla Związku Nauczycielstwa Polskiego na Ukrainie, który do tej pory nie określił do końca swojej działalności. Należy z pewnością, w zależności od potrzeb w różnych regionach, podjąć próby zorganizowania nauczania języka polskiego w szkołach sobotnio-niedzielnich na prawach szkół mniejszości narodowych, a także szkół dwujęzycznych, w których nauczanie odbywałoby się w języku ukraińskim i polskim. Należy również brać pod uwagę grupy międzyklasowe w szkołach sobotnio-niedzielnich (klasa I–II itd.), w zależności od liczby uczniów.

Szkoły lwowskie powinny odzyskać status Szkół Polskiej Mniejszości Narodowej.

A praca pozalekcyjna?

W szkole przykładą się do tego ogromną uwagę. Każdy uczeń może rozwijać swoje zamiłowania w sekcjach sportowych, kółkach plastycznych, zespołach artystycznych itp. Bogate tradycje teatralne, sięgające minionych stuleci, posiada szkolny teatrzyk „Baj”. Praktycznie od momentu podjęcia pracy w szkole włączyłam się w „życie teatralne” szkoły. Z czasem zostałam reżyserem i kierownikiem wciąż nowych generacji zespołu. Na naszym koncencie mamy około 40 premier – wieczory literacko-muzyczne, spektakle. Dzięki zaistniałym zmianom nasz teatr występował wielokrotnie w różnych miastach RP, jest laureatem konkursów. Przed dwoma laty wystąpił w londyńskim POSK-u z lwowskim programem. Ale chętnie pojechalibyśmy też do pobliskich miejscowości, aby wystąpić tam przed naszymi rodakami.

Nasza młodzież odznacza się dużą aktywnością, uczestnicząc w różnego rodzaju konkursach, olimpiadach, parafiadach itp.

Jako polonistka pragnę podkreślić znaczenie Ogólnopolskiej Olimpiady Literatury i Języka Polskiego, organizowanej w Warszawie od ponad 30 lat, a dla młodzieży spoza RP od 1990 roku. W ciągu tych 10 lat przygotowałam dziewięciu olimpijczyków, którzy dziś z powodzeniem kształcą się w Polsce. Niektórzy z nich są już doktorantami – Ilona Kuryluk w PAN, ks. Andrzej Legowicz w Rzymie.

Trzeba dodać, że mamy świetnych recytatorów. Są laureatami wielu konkursów recytatorskich w Kraju. Największy sukces to dwukrotne Grand Prix Marty Tajner w latach 1994–95.

Lata minęły jak jeden dzień...

Rzeczywiście. Nie żałuję tych lat, podczas których przekazywałam wiedzę, zgodnie z trafną sentencją brata Adriana Wacława Brzózki: *Mamy to naród, który zapomniał swojego języka*. Mam pracę, którą kocham, otoczona jestem młodzieżą, którą kocham, kolegami, którzy w większości są moimi uczniami.

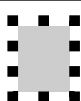
Chęć zachowania tożsamości narodowej w nas i, miejmy nadzieję, w naszych dzieciach i wnukach, nie powinna zaniknąć. Stan zagrożenia w tej czy innej postaci nie przestaje istnieć. Szanując innych, naszym obowiązkiem jest pamiętać, kim być pragniemy.

Moja praca jest moim sposobem na życie. Nie wyobrażam sobie życia bez szkoły, bez gwaru wesołych głosów dzieci, podobnych do świergotu ptaków. Jakże wzruszający jest moment, gdy moja dawna uczennica, dziś babcia dbająca o swego wnuka, ucznia początkowej klasy, zwraca się z życzeniem: *Proszę jeszcze tylko mego wnuka doprowadzić do matury!* Czuję więc, że jestem potrzebna i to dodaje mi sił.

Zawód obrany przed laty przez Panią Profesor okazał się prawdziwym powołaniem, iskrą zapalającą w uczniach miłość do języka i kultury ojczystej oraz bogatych tradycji narodowych, ale także szacunek dla prawdziwych wartości kulturalnych innych narodów.

Z okazji zbliżającego się jubileuszu, w imieniu trzech pokoleń uczniów i wychowanków pragnę złożyć Pani Profesor serdeczne gratulacje, życząc sił, zdrowia, wytrzymałości, bowiem jak powiedział Fryderyk Chopin: *Czas to najlepsza cenzura, a cierpliwość – najdoskonalszy nauczyciel*. Dziękuję za rozmowę.

Także Krakowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. oraz Redakcja „Cracovia-Leopolis” składają Pani Profesor serdeczne gratulacje i wyrazy uznania z okazji Jubileuszu 45-lecia pracy pedagogicznej, w tym 44 lat pracy w lwowskiej Szkole nr 10 im. św. Marii Magdaleny. Sto lat!



Listy do redakcji

POGROM W JANOWEJ DOLINIE

Przeczytałem „od deski do deski” numer „Cracovia–Leopolis” poświęcony Wołyńowi (23a/2000) i uważam, że jest świetny pod każdym względem. Nasunęło mi się sporo refleksji osobistych z okresu pobytu w tamtych stronach. Przed wojną, od roku 1938 (aż do wyjazdu do Polski w 1945 r.) mieszkalem w Kostopolu, gdzie mój ojciec, wcześniej zawodowy podoficer 3 pułku artylerii lekkiej Leg. w Zamościu, pracował w Nadleśnictwie Państwowym.

W wołyńskim numerze CL jest bardzo dużo ciekawego materiału, ale szkoda, że została pominięta przepiękna osada robotnicza w Janowej Dolinie, leżącej 20 km od Kostopola. Była to kilkutysięczna osada polska. Robotnicy polscy pracowali tam przy kruszeniu skał bazaltowych. Sam bazalt wywożono do specjalnych zakładów, gdzie cięto go na kostki brukowe. Osada była bajecznie usytuowana. Ulice i domki położone w pięknym, kilkadziesiątletnim lesie sosnowym. Wyglądało to mniej więcej tak: brukowane ulice dzielone były kilkumetrowymi pasami leśnymi. Przy każdej z nich po jednej stronie stały jednorodzinne drewniane domki robotnicze, z pięknymi zadaszonymi werandami. Takich ulic było w osadzie kilkanaście. Prostopadle do tych uliczek i domków biegła szersza ulica, a przy niej dwurodzinne, piętrowe, także drewniane domy urzędników. Posiadały one rów-

niez werandy i balustrady. Wszystkie domy kryte były gontem. Natomiast nieco dalej, przy kopalni, znajdowały się dwa czy trzy bloki murowane, piętrowe – biurowce ze sklepami i magazynami na parterze.

W Wielki Piątek 1943 roku ogromna banda ukraińska, złożona m.in. z 16–17-letnich chłopców i dziewcząt, dowodzona przez starszych „rezunów” siczowych, bestialsko mordowała naszych rodaków. Dziewczęta oblewały domki benzyną i ropą przynoszoną w wiadrach, a te wyrostki goniły ze snopkami płonącej słomy i podpalały domki pełne ludzi. Kto próbował uciekać, dostawał serię maszynową od „strilców”. Krzyki i lament wzywający pomocy słychać było wieczorem aż w Kostopolu! Znikoma część tylko się uratowała, reszta spłonęła żywcem i uduśiła się w piwnicach. Pracował tam i mieszkał mój stryj z żoną i 8-letnim synem. Ocaleli po prostu cudem, a to dlatego, iż dwa dni wcześniej przyjechali do nas na wspólne święta. Stracili wszystko, co mieli. Po tej tragedii zamieszkali u nas aż do przyjścia Sowieców w styczniu 1944 roku.

Będąc z żoną kilka lat temu w Kostopolu, zagadnąłem dwóch starszych Ukraińców: co się dzieje teraz w Janowej Dolinie? Odpowiedzieli mi krótko: *Tam nachodyt'sia tiurma*. Tyle się dowiedziałem. Byli jacyś przestraszeni i nie chcieli w ogóle na ten temat rozmawiać. Jak widać, jeszcze nie umieją się uwolnić od sadyzmu i przemocy sowieckiej.

Podobna tragedia rozegrała się kilkadziesiąt kilometrów od Kostopola w kierunku Sarn. Tam znajdowały się olbrzymie polskie wioski – Stepoń i Huta Stepońska. Wioski te też były kilkakrotnie celem ataku banderowców. Niemcy w ogóle nie reagowali i nie udzielali żadnej pomocy Polakom.

Z ich strony było tylko ciągle podjudzanie i nastawianie Ukraińców przeciwko naszym rodakom. Po tych napadach na wymienione miejscowości Niemcy „wspaniałomyślnie” podstawili wagony na najbliższą stację i resztki niedobitków wywieźli do Rzeszy.

W niektórych polskich wsiach mieszkający zaczęli organizować samoobronę i tu już „strilcy” bali się otwarcie napadać, bo dostawali solidny odpór.

Janusz Żurkowski

Dziękujemy za relację. Prosimy Czytelników o nadsyłanie takich wspomnień, tym bardziej, że wreszcie odżywa sprawa zbrodni SS-Galizien (napiszemy o tym w następnym numerze).

Całkiem innej sfery naszej historii dotyczy list, nadesłany przez p. M.B. Hetnał, zamieszkałą w Nysie:

Ucieszyłam się, gdy przeczytałam w „Cracovia-Leopolis” życiorys mego ojca śp. Lucjana Rydla (syna poety). Jestem stałą czytelniczką Waszego kwartalnika. I ja byłam tą czytelniczką, która Wam ten dokument dostarczyła. Przynajmniej raz w roku przyjeżdżam do Krakowa z dziećmi, najpierw z córkami, a teraz z wnukami. [...] Czuję się mocno związana z Krakowem, gdzie mam rodzinę ze strony ojca i matki. Równocześnie związana jestem z Kresami, działałam w TMLIKPW, ponieważ w okolicach Chodorowa się urodziłam, jak i moich dwu braci, Jan i Lucjan, tam też spędziłam najmłodsze lata.

W związku ze 100-leciem wesela [tak – słynnego w e s e l a, unieśmiertelnionego przez Stanisława Wyspiańskiego – przyp. red.] moich dziadków Rydlów, mieliśmy Zjazd Rodzinny w dniach 27–29 października 2000 r. Prasa krakowska dużo się na

ten temat rozpisywała, ale z przykrością stwierdziłam, że o moim ojcu nie było żadnej wzmianki, oprócz stwierdzenia przez syna kuzyna dra Jana Rydla z Bronowic, że Lucjan Rydel (mój ojciec) nie interesował się domem w Bronowicach i wyjechał na Kresy. O ile wiem, to ojciec dom w Bronowicach pozostawił swej siostrze Helenie [z Rydlów – przyp. red.] Rydlowej, babce wymienionego wyżej Jana. I chwala im za to, że utrzymują muzeum i tradycje. Ale i my, wnukowie Lucjana Rydla poety i dzieci jego syna Lucjana, i nasze rodziny, jesteśmy uczuciowo bardzo związani z Bronowicami i Krakowem.

Dzieci siostry ojca, Heleny, niestety już nie żyją – Jacek, mąż obecnej kustosz muzeum, oraz niezapomniana Haneczka, która przez prawie 30 lat aż do swojej śmierci żyła dla tego muzeum. My, troje dzieci po Lucjanie, wnukowie Państwa Młodych [z „Wesela” Wyspiańskiego – przyp. red.] żyjemy. Ja, Maria Barbara Rydel-Hetnał, ur. w 1928 r. (najstarsza z wnuków) oraz moi dwaj bracia bliźniacy, Lucjan i Jan, ur. w 1932 r. Wnuk Jana Rydla z Solca Kujawskiego ur. w 1988 r. jest najmłodszym i jedynym praprawnukiem poety (inni potomkowie mężczy mają córki). [...]

Bardzo dziękujemy za te interesujące informacje – w samo stulecie wydarzenia, które zaowocowało niezwykle dziełem naszej narodowej literatury – „Weselem” Stanisława Wyspiańskiego. Ojciec pani Marii, Lucjan junior, autor listu przedrukowanego w CL S/2000, był pierwszym c i e l e s n y m owocem tamtego wydarzenia.

W następnym numerze przedstawimy fragment wspomnień pani M.B. Hetnał z jej wczesnego dzieciństwa, spędzonego pod Chodorowem.

W następnym numerze:

O Marianie Hemarze z okazji 100. rocznicy urodzin ❖ O wystawie krakowskich plastyków z lwowskim rodowodem ❖ O Marianie Wnuku, Juliuszu Petrym, Eugeniuszu Bodo ❖ Proza Michała Witwickiego



Opowieść o Polskich Termopilach – boju pod Zadwórzem, który rozegrał się 17 sierpnia 1920 roku. Bitwę, w której zginęło z rąk bolszewickich najeźdźców ponad trzystu młodych Polaków, lwowskich studentów, rzemieślników i uczniów, opisał prof. Stanisław Sławomir Nicieja, autor znakomitych monografii Cmentarza Łyczakowskiego i Cmentarza Orłąt we Lwowie.

Tomik – drugi w serii Biblioteki „Cracovia-Leopolis” – przygotował i wstępem opatrzył Janusz Paluch. Wydawnictwo Śródmiejskiego Ośrodka Kultury w Krakowie i TMLiKPW, Oddział w Krakowie. Książeczkę można otrzymać i zamawiać w Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów PW, 31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Edukacji i Kultury Urzędu Miasta Krakowa

Redakcja składa podziękowanie w imieniu własnym i Czytelników

Na I stronie okładki: Czarna Kamienica przy Rynku we Lwowie. Rysunek Zbigniewa Haicha

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-WschodnichP

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościk, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Barbara Kościk, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka, Marta Walczewska, Jacek Walczewski

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413-35-00, 294-15-28

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiestacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

Spis treści

Słowo od Redakcji PRIMA INTER PARES	II	Adam Trojanowski REFLEKSJA NA SZEŚĆDZIESIĘCIOLECIE (3)	36
Barbara Czańczyńska FELIETON O SOBIE	1	Konrad Sura PAŃSTWOWA TECHNICZNA SZKOŁA ZAWODOWA WE LWOWIE	40
PAMIĘCI LWOWSKICH PROFESORÓW	2	Sylwetki Maria Sołtys-Pięta MIECZYŚLAW SOŁTYS	42
Łukasz Walczy DZIEJE WIELKIEGO BŁĘDU	3	Maria Sołtys-Pięta ADAM SOŁTYS	43
Stanisław Łempicki PROFESOR – NAMIESTNIK – MECENAS	6	Słownik geograficzno- -historyczny KAJZERWALD ♦ LWÓW (położenie i sys- tem wodny) ♦ POHULANKA ♦ WULKA	43
Tadeusz Ulewicz WSPOMNIENIE O STANISŁAWIE ŁEMPICKIM	9	Z tamtej strony WYDARZENIA	44
Adam Małkiewicz HISTORIA SZTUKI NA UNIwersYTECIE LWOWSKIM 1893–1939	12	Polacy z Polakami DO ZAPAMIĘTANIA	45
Andrzej Betlej UWAGA! ZŁA KSIĄŻKA	17	W Krakowie i dalej Zdzisława Stopczyńska 82. ROCZNICA NOTATKI	46
Elżbieta Mokrzyńska PROFESOR MAKAREWICZ	18	Kultura ♦ Nauka Stanisław Sochaniwicz PAMIĘCI SOŁTYSÓW	47
Rozmowy Teresa Kulikowicz-Dutkiewicz ROZMOWA Z MARIĄ IWANOWĄ	21	Andrzej Chlipalski POLSKI FESTIWAL WE LWOWIE	47
Anna Kostecka POLSZCZYŹNA MOŚCISK	26	Marek Wenecki NOWE BULWARY, ULICE I MOSTY W KRAKOWIE KRONIKA	49
Wiersze Eugeniusz Zychowicz ŚPIEW RZEKI ♦ NOC	28	Książki ♦ Czasopisma Kazimierz Selda NOWE KSIĄŻKI	51
Proza Tymon Terlecki PAPIEROWA MAGIA	29	Stefan S. Łukowski WERTUJĄC WYDAWNICTWA	57
Naszym zdaniem PANI HERBERTOWA	33	Listy	63
FOTOREPORTAŻ	34		